

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Mistrzowany Tygodnik Kobiec

ROK LX

WARSZAWA, DNIA 27 SIERPNIA 1927 ROKU

NR 35

TREŚĆ NUMERU: Powrót do gniazd — *Stefania Podhorska - Okółów*. Moralność sezonowa — *M. H. Szpyrkówna*. Cicerone Adama — *Marja z Przedzieckich W. Walewska*. Wiersze: „Łubin“, „Gołębie“, „Dekoracje“ — *Aleksander Maliszewski*. Wesoły Błazelek — *Herminja Naglerowa (J-a Stycz)*. Kaczęta (powieść) c. d. — *W. Miłaszewska*. Przyszłe amazonki — *Ga*. Kobieta w świecie i w domu — *R. C. H.* Z książek — *Z. M.* „Z dalekich kresów“ — *Pani Elżbieta*. Wykwintna kobieta — *Z...ska*. Kosmetyka dla młodzieży — *Dr. med. J. Świtalska*. Pszczoły — *W. D.* Umiejętność kulinarna pani domu. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty“: Suknia domowa — *Well*. Nowoczesne łóżka. Koronka wenecka. Dodatek powieściowy: „Poławiacz dusz“ — *Douglas Goldring*, autoryzowany przekład *Haliny Gromadzkiej*. Arkusz wzorów.

POWRÓT DO GNIAZD

Koniec wakacji! Pisklęta wracają do gniazd... Opalone to, rozszczebiotane, rozpuszczone, wypierzone. Powyrastało z sukienek i spodniek. Wydoroślało, wybujało. Niejedno dziewczątko z długim warkoczem i cienkimi, jak szpady, łydeczkami, co jechało na wakacje blade, skromniutkie, zahukane,—wraca rozrosłą pannicą, o powłóczystem spojrzeniu i aspiracjach w kierunku uczesania à la garçonne. Niejednemu chłopakowi, co wyjechał piskliwym smarkaczem, o wiecznie usmolonych w atramencie łapskach i z kieszeniami, pełnemi sznurków, drutów i innych rupieci,—włas się zaczyna sypać, a palce, które poraz pierwszy zaznały tajników manicure'u, kreślą na liljowym papierze romantyczne, skąpane w księżycowym blasku, wiersze „do niej“, do pierwszej w życiu, idealnej „bogdanki“.

Po okresie wakacji, okresie wyładowywania sił fizycznych i duchowych, nastaje okres wspomnień i westchnień, na szczęście krótki, bo go zwykle przecina rzeczywistość w postaci szkoły, zwykłych zajęć, koleżeńskich stosunków. Wszystko wraca do normy, wszystko, pozornie, jest znowu tak, jak było; rozhuśtana rzeka młodych głów i serc po letnim wylewie wraca posłusznie do swego łóżyska; ale inne nieco są wody, które toczy: bardziej wartkie, żywsze, zmącone dopływem nowych, nieosadzonych jeszcze na dnie, nieprzetrawionych dostatecznie pierwiastków.

Ten proces osadzania, krystalizacji, przyswajania sobie wrażeń i przeżyć, najczęściej chaotycznie i naólep, z młodzieńczym pośpiechem wchłanianych

podczas wakacji,—zbiega się zwykle z początkiem roku szkolnego, a zatem z punktem wyjścia nowej paraboli intelektualnej, jaką młody umysł ma przebiec w ciągu najbliższego roku. Jest to zatem okres w życiu młodzieży niesłychanie ważny, wywołujący niejednokrotnie szereg ciekawych i zawiłych problemów psychicznych, których pomyślnie, lub chybione rozwiązanie zadecydować może nieraz o dalszym rozwoju młodocianej jednostki.

Wiadomo, jak doniosłe znaczenie mają dla dzieci i młodzieży, a nawet dla dorosłych,—byłe nie ze szczętem zaskorupiających indywidualności i organizmów,—dobrze spędzone wakacje. Ta przymusowa luka w pracy, ta synkopa w ciągłości wysiłku, jakże hojnie opłaca się w następstwie wzmożoną wydajnością skomplikowanego mechanizmu nerwów i mózgu!

Świeże, wypoczęte zmysły; wrażliwość wyostrzona; przyspieszony rytm przyswajania sobie pojęć i przemiany materji intelektualnej; żywsze pulsowanie uczuciowości; łatwa skłonność do wybuchów śmiechu i pustoty; uwaga wprawdzie rozproszona, ale bardziej intensywna ruchliwość umysłu; zwiększona, że się tak wyrażę, pojemność i prężność mózgu,—oto co przynosi normalny uczeń do szkoły po wakacjach.

Te same zasoby może i powinien wnieść ze sobą normalny nauczyciel, o ile jego wakacje były naprawdę wywczasami sztubaka i studenta; jeśli warunki materialne i rodzinne pozwoliły mu na całkowitą

beztroskę, a zdolność samokrytycyzmu i odradzania się — na pozbycie się czasowe bagażów mentorstwa i powagi i na czarodziejską wyprawę, z tobołkiem romantyzmu na plecach, po złote runo wiecznej młodości ducha.

Te dwie drogi: młodzieży, szybkim krokiem zdążającej do upragnionej dojrzałości, i jej kierowników, którzy tę metę, wcześniej czy później, już przekroczyli, a tak łatwo zapominają, jak to tam było u startu, — te dwie drogi zetkną się z sobą na progu nowego roku szkolnego, i, albo się przetną, aby się nie spotkać nigdy, albo popłyną równolegle, jak dwa nurty jednej rzeki, o odmiennym zabarwieniu i temperaturze. Kąt padania równy jest kątowi odbicia, i od nastawienia tych dwóch dróg, od ich wzajemnej ku sobie postawy i nachylenia zależy istota stosunku między nauczycielem, a młodzieżą, stosunku, który może nigdy nie wyjść poza granice oschłej formalityki, a może się stać serdecznym współżyciem, zostawiającem niezatarte piętno i wzruszające wspomnienie na długie lata, zarówno dla jednej, jak i dla drugiej strony.

Każdy z nas miał w życiu swoim jakiegoś, starego już dziś, albo nieżyjącego profesora, jakąś, zdziwaczalą już obecnie, albo zniedołężniałą nauczycielkę, której, albo któremu zawdzięcza już to trafne pokierowanie przyszłością, już to decydujący wpływ przy wyborze zawodu, już to, poprostu, niesłychanie cenne, żadnym podręcznikiem nieobjęte zdobycze intelektualnego i życiowego doświadczenia. I odwrotnie. Któż, co choćby przelotnie tylko miał do czynienia z pedagogią, nie chowa w tkliwej pamięci jakiejś młodej duszyczki, która mu nieświadomie otworzyła nowe widnokreśli poznania, uchyliła rąbka zasłony z twarzy niewiadomego i dała w ręce klucz do rozwiązania sfinksowej zagadki, jaką jest psyche ludzka w każdym wieku i na każdym szczeblu rozwojowym?

Przewodnik młodzieży powinien być nietylko dobrym pedagogiem, ale i pierwszorzędnym psychologiem. Sama metoda tu nie wystarcza; trzeba mieć jeszcze dwie rzeczy: serce i powołanie. Te trzy pierwiastki, splecione razem, mogą tworzyć cuda.

To, co mówimy tu o nauczycielach, da się zastosować i do matek, tylko w nieco odmiennych proporcjach i kolejności. Matki zazwyczaj w stosunku do własnych dzieci nie okazują braku serca, natomiast z powołaniem pedagogicznym jest już znacznie gorzej; a metoda? ta najczęściej mocno kuleje.

Według zdania większości matek, najlepszą busolą w postępowaniu z dziećmi jest instynkt macie-

rzyński. Istotnie nie zawiedzie on tam, gdzie jest wspierany przez wnikliwą intuicję i subtelność lojalności, tę samą lojalność, jakiej wymagamy w stosunku do nas od naszych dzieci. Powrót z letnich wywczasów stwarza rozległe pole dla intuicji matczynej w zakresie tego, co się nazywa atmosferą zaufania. Wakacje są zwykle dla podlotków porą budzenia się pierwszych uczuć. Na tle pól, lasów, gór i morza, w środowisku, tak odmiennym od codziennego otoczenia, w dekoracji świątecznej poniekąd i poetycznej, — zawiązują się węzły „dozgonnych“ przyjaźni, braterskich i siostrzanych, kielkują idealne uwielbienia i zachwyty, rozniecają się pierwsze iskierki, najczęściej podświadomych, uniesień erotycznych.

I tu nadchodzi moment próby dla taktu i subtelności matki. Jedno fałszywe posunięcie, jedno nie w porę, lub niewłaściwie postawione zapytanie, jedno zbyt szorstkie starcie puchu marzeń młodzieńczych ręką nieubłaganej rzeczywistości, — może przekreślić raz na zawsze stosunek duchowy między matką, a dzieckiem. Trzeba pamiętać, że nawet trzyletnie „bobo“ wymaga, aby jego „na niby“ było brane na serio, i obraża się, gdy jego zabawy są traktowane z pobłażliwym uśmiechem. Ta drażliwość wobec własnych „relikwii“ wzrasta w miarę, jak młody człowiek przekracza próg labiryntu uczuć realnych, choćby nawet najbardziej egzaltowanych. Są to uczucia, które boją się poprostu słów, zarówno wobec przedmiotu uwielbienia, jak i od osoby postronnej, nawet, gdy nią jest matka.

— „Jakto! — zawoła z oburzeniem niejedna z moich czytelniczek, — więc nie mam prawa czuć nad sercem moich dzieci?!”

Czuwać? — zawsze, tylko nie wyrywać przemocą wyznań i nie robić nacisku w kwestjach, które dla nas mogą być błahe, a dla młodej, egzaltowanej natury są nieraz sprawami życia i śmierci. Pamiętajmy, że, gdzie się zaczyna przymus, tam kończy się zaufanie. Czuwajmy nad uczuciami naszych dzieci, ale nie jak strażnik więzienia, z pękiem kluczy badający całość zamków i krat, ale raczej, jak latarnia morska, której wiecznie płonące oko nie pozwala okrętom rozbić się o skały podwodne, a rozbitkom — umożliwia dotarcie do brzegu.

Wiemy z własnego doświadczenia, że gdzie są zamki i kraty, tam budzi się instynktowne pragnienie ucieczki, zaś do ciepła i światła lgnie każda młoda dusza, jak opiłka do magnesu. Bądźmy, jako latarnia morska, o świetle nigdy niezmąconem, a pisklęta nasze, nawet, gdy im wyrosną skrzydła, z własnej woli wrócą do gniazda.

Stefania Podhorska-Okołów.



M. H. SZPYRKÓWNA

MORALNOŚĆ SEZONOWA



Gdyby piekło dantejskie mogło być do pomyslenia na wierzchu, nie zaś w nieznanach otchłaniach, moralisci napewno umieszciliby je na... plaży. Sapristi Christi! czegoż bo tam, na plaży nie może człowiek ubrany zobaczyć! Ubrany, — bo nieubranego ogarnia

bezwzględnie zaraza ogółu, i przestaje widzieć cokolwiek poza piaskiem i wodą, a conajwyżej — kolo-rem opalenizny najbliższej sąsiadki. To zobaczyć musiał Tego, biedaczek, nie zobaczyć nie może, nawet gdyby sobie sprawił boczne końskie okulary. Bo sąsiadka na plaży poławia się w dowolnych ilościach na każdym miejscu. Trzeba z nią się dzielić prześcieradłem, bo zapomniała swego; trzeba ją okryć płaszczem kąpielowym, bo przecież sama nie poradzi; trzeba wypróbować dno, zanim wejdzie; trzeba trzymać przed nią kieszonkowe lustro, kiedy wyjdzie, żeby się upudrowała, — wogóle — trzeba być ciągle z nią, przy niej, dla niej i koło niej.

Żadna Bolszewja nie zdoła się pochłubić tak wzorową — a bezprzymusową przytem!... — komuną, jaka wytwarza się na plaży. Na wspólnym prześcieradle, pod wspólną parasolką (naturalnie—japońską!) po wspólnej kąpeli, — wspólnota wytwarza się jakoś sama przez się, w sposób łagodny i nieunikniony, który zupełnie wyklucza wszelkie zakusy separatystyczne.

Człowiek, który wspólnie nie plażuje, staje się niemiły, przykry, a nawet zlekka podejrzany. Jest uzurpatorem miejsca, które komuś innemu, bardziej skomunizowanemu, należy się słusznie i sprawiedliwie. I po co taki wogóle się pcha, ze swemi spodniami i marynarką! Gość, któryby się zjawił na obiad dyplomatyczny w majteczkach kąpielowych, to u t court, nie obudziłby większego politowania na sali, niż gość, ubrany w kompletny garnitur, budzi na piasku.

Pierwszego wieczoru po przyjeździe nad morze zdarzyło mi się przechodzić o zmierzchu koło ławki, na której rozbawione towarzystwo lokowało się po dwie osoby na jedno miejsce. Słysząc było śmiechy, protesty kobiet:—Tak nie wolno! — wykrzykniki, aż solidny głos jakiejś matrony wygłosił sentencjonalnie:

— Żeby gdzie indziej, to tak, ale na plaży wszystko wolno!

Uważam, że owa niewidzialna dama wygłosiła słowa zasadnicze. Na plaży wszystko wolno! „Sezonowa miłość“ Zapolskiej rozgrywa tu swoje wielorakie, stubarwne odmiany. Czy ludzie są inni? Nie. Czy

epoka jest inna? Także nie. Ta sama mama z tą samą córeczką wróci do Warszawy, czy Poznania, do swoich firanek, gorsetu i jour-fixe'ów, i pokaże się, że pannie Zosi, Luli, czy Dziunieczce nagle stanie się znowu nic nie wolno,

Nie wolno będzie pójść samej z panem Karolem ulicą Marszałkowską, chociaż tu, na plaży, wolno jej było leżeć na wspólnym (honny soit, qui mały pensel) prześcieradle i czytać wspólnego Makuszyńskiego, podczas gdy pan Karol rysował kółka na bardziej opalonych miejscach wspólnego, poniekąd, dekol-tu. Nie wolno nosić zadużego wycięcia, bo jest to rzecz gorsząca, ale wolno było spuszczać nawet kostjum kąpielowy z ramiączek, ażeby się opalić równo i nie mieć dwu śmiesznych, białych pasków na bronzowej skórze, jak u tych kobiet, które się opalają bez pojęcia.

Zupełnie na miejscu było zostać wieczorem na dancingu, troszkę jeszcze potem, jak starsi poszli, bo przecież zostawały i te dwie panienki z naprzeciwwka, i doktor, i ten szykowny marynarz, który jest już prawie, jak znajomy, i wogóle przyjemnie jest pójść w nocy na molo z danserem, z którym się tańczyło przez cały wieczór, albo i przez cały sezon. Danser staje się powoli kimś tak znanym, że aż nieomal najbliższym. Dziutka, Zosia i Oleńka wiedzą na pamięć, jak trzyma w tańcu: daleko, czy blisko, miło, czy okropnie, czy znów tak, że gdyby nie to, że tu jest plaża i wszystko, właściwie, wolno, to wogóle niktby z nim nie tańczył! Ale tu jest plaża, i wolno bardzo, bardzo wiele. Shimmy przedstawia nawet dla podlotków już tak mało tajemnic, co do owej tajemniczej postaci, jaką każdy pan Karol, czy Stanisław byli do niedawna dla Dziutek, Lilek i Oleńki! Teraz wiedzą o nim już dużo, bardzo, bardzo dużo.

Dziś, podług trafnego określenia dancingowego, ludzie nie „stańcowują się“ ze sobą, tylko—„wtańcowują się“ w siebie. Dopiero taka, doskonale „wtańcowana“, para stanowi numer udany. Jedne zpośród dziewcząt — te inteligentniejsze — reagują na zbliżenia dancingowo-plażowe normalnym odruchem pewnego, doraźnego zaskoczenia. Jest w tem i zażenowanie, i zdziwienie, i odraza, i niepewność.

Więc to tak można? W dzieciństwie wszystkiego uczono inaczej, i czy wogóle z tego trzeba się spowiadać, i czy to jest grzech?... Jest krótki okres, kiedy dziewczynka, zaskoczona nowością doznawanego, rozgląda się po otoczeniu, ażeby w niem znaleźć potwierdzenie, albo zaprzeczenie swoich obaw, aby napotkać ten, czy inny katagoryczny imperatyw.

Ale — imperatywu niema. Jest szczególna chwiejność, niezdecydowanie, dwoistość — i niejako „dopuszczenie” przez starszych istniejącego porządku rzeczy, bez wyraźnej aprobaty, ale też i bez wyraźnego sprzeciwu. Moda zrobiła swoje: I Dziutka, i Oleńka, i wszystkie inne, chuchane i chronione od dziecka przed brutalnością życia, Marysieńki z całej Polski, jak wielka, — nagle, brutalnie i odrazu są skonfrontowane, z „tem, o czym się nie mówi” — w objęciach pana Karola z pensjonatu, czy szykownego marynarza, który mieszka naprzeciwko, więc jest prawie znajomy. Lato minie — i oni obaj przeminą także.

Odejda w swoje życie, inne, niż życie Liluchny i Zosieńki. Ale uniosą, rozpylony po szykownie skrojonych garniturach, ów pierwszy puszek dziewczęcych rozkwitów, otrząśnięty w podrygach shimmy z uświadomienia piętnastoletnich danserek, na których twarzyczkach tak miło jest obserwować nagle fale rumieńców, gniewu, wstydu i ciekawości, przy taktyce rozmaicie stosowanych zwrotów, chwytów i przytuleń.

I jakże śmiesznymi, zbędnymi formułkami wydadzą się dziewczynkom wszelkie duszsbawienne przestrogi zimowe o tem, czego to przyzwoitej panience nie wolno i na co to skromnie ułożona panienka pozwalać sobie nie powinna.

W czym jest błąd?

Myszę, że w niewspółczesności emancypacji naszego wychowania pozatem, z nagłym wyzwoleniem, które żywceń rzuciła nam w murzyńskim tańcu Ameryka. Amerykanka we wszystkich dziedzinach jest emancypowana równomierne. Amerykańska Lili, czy Betty tańczy shimmy ze wszystkimi jego odmianami wtedy, gdy już dobrze wie, co to jest mężczyzna, co to jest małżeństwo i jakie konsekwencje, a zwłaszcza wygody i niewygody dla niej płyną ze swobodnego obcowania. A wie o tem wcześniej. Zdaje sobie doskonale sprawę, do czego zobowiązują jej Billa, czy Sama zaawansowana kurtuazja w tańcu i północne spacerowanie. Słyszy o tem od dziecka, czyta w ustawach kraju, śledzi z toku codziennych procesów.

Jej uświadomienie społeczne, co do flirtu, romanu, miłości, czy małżeństwa — wyprzedza o wiele osobiste w tym kierunku eksperjencje emancypacyjne. Jej wolność jest nie sezonowym wybrykiem, nawianym, jak wydma z piasku, wiatrem mody na obcy grunt, tylko logicznym wynikiem całego ustroju jej życia. Czas pomyśleć o tem, aby i u nas „sezonowe” wyzwolenie plażowo - letniskowe zrównoważyć odpowiednim podkładem wszechstronniejszego uwłasnowolnienia dziewcząt na wszystkie „sezony” roku — i życia.



MARJA Z PRZEŹDZIECKICH W. WALEWSKA

CICERONE ADAMA

Ze wspomnień o Pani Henryecie-Ewie z Ankwiczów Kuczkowskiej

W Rzymie, w roku 1868, za rządów papieskich zgłosiła się do mojej matki z listem rekomendacyjnym niemłoda już pani. Dawniej znajomi, — znajomym posyłali jakby w darze nowych znajomych, dodając nowe ogniwa do towarzyskich stosunków, rozwijających się z tego powodu w sposób piękny i godziwy.

Pamiętam, że przybyła osoba była niepokazna. Wzrostu średniego, miała rysy grube, oczka małe i przenikliwe, usta dość wąskie i do uśmiechu skłonne. Zażenowała naszą matkę, witając ją przesadnym, niskim ukłonem; nas, młodzieńców, zaszczyciła dygiem i miłym uściśnieniem dłoni.

— Chyba mnie wypadało uklęknąć, — rzekła później nasza matka, rozpamiętywując nadmierną grzeczność owej pani.

Była to — jakeśmy się później dowiedziały — pani z Ankwiczów primo voto hr. Sołtyk, secundo voto Kuczkowska, znana w szerokich kołach towarzyskich.

Nam ta nazwa nic nie mówiła, gdyż na myśl nam nie przyszła styczność z naszym wielkim wieszczem, a naprawdę pani Kuczkowska była zanadto grzeczną, zanadto uprzejmą, by ludzie innego pokroju zdolni byli płacić tą samą monetą; płacono więc jej tylko... lekceważeniem...

Pani Kuczkowska była owocem starodawnego wychowania, opartego na kulturze wewnętrznej, i dlatego w najwyższym stopniu posiadała cnotę delikatności. Na wieczornych zebraniach, w salonach, gdzie się gromadziły wybitne osobistości na polu sztuki i literatury, z umysłu do owych gwiazd się nie zbliżała:

podchodziła tylko do nieznanym, nie mającym stanowiska: — do skromnej nauczycielki, do młodego, kształcącego się doktora dążyła, biorąc na siebie troskę ich zabawiania, zainteresowania.

Mówiła płynnie, trochę jak pedagog — perswadując, przekonywując. Wśród takich rozmów, nigdy jej na myśl nie przyszło wspomnieć, jakim ludziom ciceronowała, — że Mickiewicz poznał Rzym w jej towarzystwie, i poświęcił wiersz swojemu Cicerone... Ta dyskretyj, u niej może wrodzona, była też nabytkiem dawnej kultury ducha. Byłoby w złym smaku popisywać się czemkolwiek — mówić o sobie... zwracać na siebie uwagę otoczenia — pani Kuczkowska bała się tego, jak grzechu.

Ta dyskretyj pani Kuczkowskiej była u niej niepotrzebnym zbytkiem, bo rzeczywiście szkodę przyniosła potomnym. Tyle byłaby mogła udzielić ciekawych, osobistych wspomnień! Gdy się jej zdarzało napomknąć o wielkich, znanych jej ludziach z ubiegłej epoki, przymruzała oczka z błogością, rozkoszując się widocznie tem wspomnieniem. Po chwili zaś otrząsała drobny pył subiektywizmu i przybierała ton obiektywny miłego drogmiana, nie pedanta, piastując przede wszystkim dział informatorski — bieżący.

Słyszając jej ciekawe opowiadania, zbliżyłam się do córki jej z zapytaniem:

— Proszę mi powiedzieć, czy ów wiersz wielkiego naszego Adama do panny Henryetty, nie był do matki jej pisany?

— Naturalnie — odrzekła Zosia, — mama ciceronowała Mickiewicza: cały Rzym pokazywała, a w zamian, ten wiersz otrzymała — dodała szeptem. — Cicho, cicho: mama o tem mówić nie lubi... Cienia się boi własnej pochwały.

— Za to, ty nam opowiadać będziesz — odrzekłam.

— Dobrze, — powiedziała — ale jak się nam zdarzy być tylko na osobności.

Od tej pory szukałyśmy sposobu rozmawiania z Zosią bez świadków, w samotności. Opowiadała nam wtedy o częstej obecności Mickiewicza w domu jej dziadków, państwa Ankiewiczów.

Stolnik dumny, hardy, bez litości, — to rysowany z natury pan Ankiewicz. Był to charakter niezłomny.

— Wiem dobrze, iż Wieszc nasz był mamą zachwycony. Biedna moja mama wiedziała, że nigdy ojca swego nie przekona, a pójście za popędem serca, wbrew jego woli, było niemożliwem.

— Bo dziadka nie można było lekceważyć... On nie byłby się wahał i przekląć mamy. Wolałby, żeby się wszystko w proch rozpadło, niż przystać na to, czego mu wzbraniał dawny sposób myślenia, choć niewłaściwie, ale głęboko zakorzenione zasady — „principia“, jak je nazywano.

Więc, mając uczucie w sercu, wypadło Henryecie cierpieć i milczeć raczej, niż się narazić na prze-

kleństwo ojca, lub śmierć matki, — któryby takiego sromu nie przeżyła.

Pani Ankiewiczowa należała do dawnej falangi niewiast, na ślepo mężom posłusznych. Nasz wieszcz pojął całą grozę sytuacji — z życia też jest wzięty epizod Stolnika, — ból Ewy, — rozpacz Jacka.

— Ale czy rodzice domyślali się coś z uczuć Ewy? — pytałyśmy z ciekawością.

— Nie wiem — odpowiadała Zosia — mama zawsze miała ten wyraz pogodnego usposobienia, towarzyszący jej ciągle, jak i teraz. Prawda, iż jest więcej, niż uprzejmą — jest nadskakującą.

— A jak wyglądała? czy ładna była? — pytałyśmy się niedowierzająco.

— Nie powiem, żeby była ładną, — brzmiała odpowiedź — ale nadzwyczaj miłą była i to, co się zowie, polską codzienną pięknoscią: śnieżno-biała, rumiana, świeża, choć niezbyt wysoka, miała zgrabną i proporcjonalną figurę.

— Mickiewicz był — jak twierdziła mama, — uosobieniem powagi moralnej i wykwintu wewnętrznego. Nadewszystko miał lubić muzykę, — wieczorami mama zawsze grywała. Czasem, nasz wieszcz zawitał do dziadków wcześniej; wtedy zwykł prosić mamę, aby zasiadła do fortepianu o zmierzchu, gdy jeszcze światła nie były zapalone — przysłuchiwał się wówczas muzyce w największym skupieniu — później długo, długo — głowę zakrywając dłońmi — przesiadywał zadumany. Muzyka go wybornie nastrajała.

Takie opowiadanie przerywała pani Kuczkowska.

— Czempredziej panienki przychodźcie do salonu: nadeszło kilka osób, parę panienek, kilku młodych ludzi, — nie godzi się próżnować, trzeba kadryla urządzić; zaczniemy od polki. — I fertyczna staruszka zasiadała do fortepianu. Przeszkodziła miłej rozmowie, ale z uśmiechem i animuszem grała do tańca.

— Czy mama twoja ma dużo pamiątek po Mickiewiczu?

— O tak: chowa, jak relikwje, pisane do niej wiersze, (po rozstaniu niektóre były oddane). To są jej drogocenne autografy.

Kiedyś na wizycie u pani Kuczkowskiej, ośmieleone jej dobrocią, prosiłyśmy, aby raczyła nam pokazać album z autografami. Zauważyłyśmy mimowolne westchnienie, gdy rażnym i drobnym krokiem szła po skarbnicę pamiątek. Ku naszemu zdziwieniu z umysłu więcej mówiła o Krasińskim, niż o Mickiewiczu, i dłużej musiałyśmy się zatrzymywać przy potocznych słówkach Zygmunta, niż przy poezjach Adama, do niej i dla niej pisanych.

— Miałam szczęście znać — ciągnęła dalej — Krasińskiego. Jaki to był głęboki myśliciel i zarazem zacny człowiek! a dla mnie — wówczas bardzo młody, kiedym go poznała — był niezwykle łaskaw — często przez właściwą sobie dobroć przysiadł się do mnie i uprzejmie rozmawiał.

— Dalej, patrzcie panienki: tu jest wiersz Odyńca, przyjaciela Mickiewicza. Od trzydziestu sześciu lat jestem z nim w korespondencji, rzadko kiedy przerywanej; podziwiam w nim niezwykłą młodość ducha.

— Mama tę młodość tak lubi, — wtrąciła Zosia, — bo sama jest młodszą od nas wszystkich; że jestem tak poważną, to nietylko z mojej winy, ale że mnie tak rozpieścili rodzice. Ojciec, który mieszka w ślicznej willi nad jeziorem Genewskiem, dba może jeszcze więcej o mnie, niż moja ukochana mama — rzekła Zosia, tuląc się do pani Kuczkowskiej.

— To prawda, jeszcze cię więcej pieści, bo trochę i psuje — rzekła matka, lekko westchnawszy, ale w mgnieniu oka chmurę tę rozproszyła, nastrajając się do wesołości. — Więc i z tej strony życia małżeńskiego — zrozumieliśmy obie z siostrą, — jest cień smutku. Znajomi wytłumaczyli tę zagadkę, odsłaniając zarazem rąbek przeszłości. W myśl rodziców, w skojarzonym przez nich związku, młoda Henryeta, posażna jedynaczka, wyszła za mąż za hr. Sołtyka. Z biegiem czasu przywiązała się szczerze do niego. Mówiono, że splot swoich pięknych włosów zamknęła do trumny przedwcześnie i bezpotomnie zgasłego męża. Zdawało się, że na arenie życia więcej się nie pokaże, iż się ukryje w murach klasztornych, lub w zaciszu rodzinnym; ale znowu zapewne przez miłość dla rodziny, w chęci przekazania jej potomstwa, wchodzi w drugie związki. Po kilku latach wdowieństwa, wychodzi pani Sołtykowa za pana Kuczkowskiego, bardzo kulturalnego człowieka. Bóg obdarza ich jedynaczką — dano jej imię Zosia, bo była córką Ewy.

Czemu los rozdzielił małżonków, odwiedzających się tylko od czasu do czasu — nie wchodzi to w zakres tego krótkiego wspomnienia. Ze słów urywanych córki wiedzieliśmy, że matka miała do znośnienia zbyt wiele pieniężnych kłopotów, wywoływanych tem, że mąż jej należał do zbieraczy rozmaitych arcydzieł i kupna ciekawego przedmiotu nie umiał sobie odmówić. Potrafiła jednak wyrobić w sobie wieczną pogodę serca i umysłu.

Pani Kuczkowska należy, jako Ewa, do dziejów naszej literatury. Była tą palmą w oazie, pod której cieniem odpoczął Mistrz po skwarnym dniu, przepędzonym w pustyni. Był strudzony, przemęczony — Ewy posłannictwem było pojednanie go z Twórcą. Wiadomo, jakie pokusy obiegły ducha Adama i że owej pamiętnej nocy, kiedy genjusz jego osiągał zenitu

chwały w „Improwizacji“, leżał, jak martwy, zbolały na ziemi. Ewie zawdzięcza powrót do Boga — do zwycięstwa ducha.

Adam podobno nie zapomniawszy nigdy doznanego jeszcze w Rzymie wrażenia.

Pociągnięty pewnego wieczoru do pojednania się z Bogiem, zbliżając się do Świętych Sakramentów, po dłuższem badaniu siebie, wczytując się w księgę Naśladowania, nazajutrz rano był u spowiedzi i przystępował do Stołu Pańskiego. Zpowrotem, przechodząc opodal domu, zamieszkałego przez państwa Ankiewiczów, zadzwonił do ich mieszkania. Otwierając mu drzwi, matka Ewy wypowiedziała słowa, zawsze dla niego pamiętne: jej córce śnił się przez noc całą pan Adam, pieścący się z Barankiem...

Po kilku latach, jako osoba już zamężna, spotkałam się w Warszawie z Antonim Edwardem Odyńcem. Na tle naszej znajomości z panią Kuczkowską, bliższy stosunek został zawiązany.

— Co to za wyjątkowa istota, — mówił — jaka szczerść, jaka prostota, nadzwyczajna świeżość myśli, głęboka wiedza, inteligencja wyższa, ta inteligencja niebywała serca, które wlot pojmuje i rozumie! Ach, moja pani, czemu się nie pobrali!.. i, widząc moje zdumienie, jął dalej tłumaczyć: — Adam z Ewą! Byliby tacy szczęśliwi!.. nie w egoistycznym znaczeniu tego słowa, więc nie tylko dla siebie, ale tak, jak oni pojmowali szczęście: — aby drugim przyświecać blaskiem wewnętrznego, słonecznego swego zadowolenia. Ewa byłaby przystanią dla Adama po burzach życia. — I westchnął młody staruszek.

— Moja pani! już nie wróci ten czas, ale gdyby przed czterdziestoma paroma latami byli się pobrali, ileby to zmian szczęśliwych spowodowało!

Kilka razy jeszcze przy spotkaniu gwarzyliśmy o niej; Odyniec ubolewał nad złym stanem jej interesów, któremu winną nie była. Zawsze z tego powodu jeździła, — raczej pędziła — z jednego końca Europy na drugi. Córkę wydała za mąż za włocha. Jej przypadło już samej kołatać, urządzać, zamęczać się... Wśród takiego rozerwanego życia skończyła pielgrzymkę doczesną. Zgasła, jak lampa żywota, w której oleju nie stało. Wszystkie siły żywotne nagle ją opuściły. Dawno były zużyte na rzecz drugich. Wśród niepowodzeń, zawodów, towarzyszyła jej zawsze radość, więc wśród zmartwień życiowych weszła do wiecznej Radości, od wieków dla wybranych przygotowanej.



ALEKSANDER MALISZEWSKI

ŁUBIN

Miljon złotych żołnierzy pręży się do góry,
Jak na wielkiej — największej na świecie paradzie,
I prezentuje broń, gdy drogą jadą fury
I gdy słońce zmęczone na lesie się kładzie.

Aż przyjdzie chłop z kosą, niby śmierć, je zetnie i zaorze,
Mundury, słońcem szyte, w szary proch zamieni
I rzuci ziarno życia — ziarno boże,
By wyszarpnąć chleb z pachnącej ziemi.

O, bądźcie pozdrowieni, żołnierze waleczni,
Którzy w dłoniach dla ludzi niesiecie dań chleba!...
Idę pomiędzy wami, jak po drodze mlecznej
I chyba prosto miedzą trafię dziś do nieba...

GOŁĘBIE

Poco te wszystkie zaklęcia — naco te wszystkie wyznania ? —
Jesteście, o białe gołębie, jak moje najcichsze słowa —
I dobrze, dobrze mi z wami, choć cięży od słów tych głowa
I każda godzina mi nowe, wciąż nowe prawdy odsłania...

Z oczu moich spojrzenia kradniecie, gdym pełen jest niechceń,
I kołem siejecie po niebie wysoko — wysoko nad chatą —
Wy wiecie, że poto są oczy i wiersze tylko są na to,
Aby wrastały, jak gwiazdy, w stalową, milczącą przestrzeń...

Gdy chmury — wełniste barany — wiatr - pastuch przepędzi pod słońcem
I między liśćmi przegwiżdże pogańskie piosenki o pięknie,
Przyjdzie tu do was i cicho, pokornie przed wami uklęknie.
Zapyta: „Powiedźcie mi, proszę, kiedyż ja pieśń moją skończę?...”

Wy zaś zerwiecie się chmarą — gołębie — gołębie — gołębie —
By lot swój w alfy, spirale, wioliny, esy pospinać...
— Wszystko się dzisiaj kończy i wszystko dzisiaj zaczyna.
Idź, wietrze! paś swoje chmury...

Ja — człowiek — więcej nie zgłębię...

DEKORCJE

Dzień jest, jak lustro, niebo, jak plaża,
Noc zaś, jak refren, w snach się powtarza —
Sny są pokraczne: — dobre i przykre —
Słońce i księżyc — kreślone cyrklem —
Rzeki, jak szpady, gną się i łamią —
Łąka — to dywan, a drzewko — namiot...
Stawy — jak oczy spokojne, czyjeś —
Motyl — papiererek, a cienie — żmije —
Ptaki - latawce wiszą nad ziemią,
Patrzą — a chaty, jak owce, drzemią —
Powietrze w uszach i w liściach dzwoni
I z krzykiem w lesie, jak w morzu, tonie...
Ja zaś, co wszystko w drodze swej liczę —
Zdzieram podeszwy, oczy i życie...

HERMINJA NAGLEROWA (J-A STYCZ)

WESOŁY BŁĄZEK

Wieczory w szpitalu dla ozdowieńców bywały w sobie zasłuchane, jak wiejskie niedziele. Chorzy siadywali na łózkach, niczem na przyzbach, i rozmawiali po sąsiedzku. Zmrok łączył się z szarą barwą koców, ułożonych gładko niby w twarde kamienne ławy. Równiutką aleją między żelaznymi sztachetami łózek snuła się biel sióstr. Można było chwilami myśleć, że to leciutkie duchy wieczoru błakają się cichemi stopami i sieją sytki piasek snu na pomruk rozmowy, na pochylone plecy i obwisłe ramiona.

Czasem wyrastała jakaś postać znad łózka i długim kitlem fruwała w stronę drzwi, na korytarz; a czasem znowu skrzypienie drzwi wypychało kogoś do sali i w słodkawą woń jodiny wwiercał się cierpki zapach dymu tytoniowego. Wtedy mącił się nasenny nastrój i rozpoczynało się człapanie zbyt dużych pantofli; to znaczy, że pielgrzymowano na korytarz z papierosem, czy z fajeczką.

Siostry, odchodząc, napominały wprawdzie: spać! ale sen był jeszcze daleko, daleko. Za oknami, wyrosłymi wysoko, aż pod sufit, zieleniał jedwab nieba, a tu i owdzie brylancik gwiazdy pryskał ruchliwym światełkiem. Głowy zwracały się niby leniwo, ale posłusznie, ku szybom, i tak już każdy stawał się naczyniem świadkiem łagodnego spływania barw—z zieleni w mgławki szafir, z szafiru w granat. A kiedy noc była pochmurna,—czern, jak matowe sukno, przywierała płasko do szyb, albo deszcz siekł o szkło drobną kaszką, i sznureczki wody spływały szybkim, robaczkowym biegiem.

Wówczas to, czy trzeba, czy nie trzeba, rozlegało się pokasywanie chorych, niczem pryhanie koni na pastwisku. A Błazek poszcze kiwał, jak wielki pies w budzie. Kaszel dudnił mu w płucach i gardłem się długo wyciągał, że zawsze wszystkich przegłosował i przetrzymał najwালniejszyc ujadaczy. Lecz ostatecznie przycichał rumor. Jeszcze tylko ktoś nosem sirpnął, a ktoś dmuchnął w ciemność westchnieniem, gasząc kopcacy ogarek smutku. Łózka zatrzeszczały, niczem wozy, gdy się na nie ładuje ciężar; w siennikach poskwierczały kłótlive wióry i rozmowa wlokła się dalej, idąc od poduszek, jak niski szelest wśród traw.

Błazek podsuwał ręce pod głowę i, drapiąc ciemność rzesami, plótł trzy po trzy. Psuł każdą rozmowę śmiesznym słówkiem, mierząc celnie, jak pestką. Niech tylko ktoś podjął jakąś ważną sprawę o swoich ostawionych domowych troskach, czy choćby o tutejszych, szpitalnych; niech ktoś z upartym nawrotem rozjęczał się nad własną chorobą, czy wystękał, wy-

gderał ten wojenny trud — Błazek śmignął batożkiem śmiechu i rozbełtał powagę, jak kałużę patykiem.

Nikt mu tego, zresztą, nie ganił, bo każdy rad był, gdy go wypędzano z zatechłej obory smutków. Dla ozdowieńców śmiech był, jak wielka łąka, roz warta na szeroki dech płucom. Więc też chichotano, wytrząsając z siebie wszelką żalobę. A kto miał głosny, rechocący śmiech, pchał głowę w poduszkę, żeby zbytnim hałasem nie ściągnąć do sali nieuprzejmie pyskujących sanitariuszy.

Błaznował więc Błazek wszystkim na pociechę, i skoro tylko jakiś smęciarz zaczął wyklądać swoje gorzkie żale, niczem kiry na trumnie — niechętni słuchacze wołali na Błazka: „A huzia, a niedaj mul“

Chłopak wezwyczał się w rozśmieszającą pustotę i był zawsze gotów na każde zawołanie. Nie żałował nikomu, ani sobie: wszystko razem pieprzył i przysalał, w grymasy wykrzywił, piskliwym głosikiem przedrzeźniał. Błada gęba już sama układała się w pajaca, a śliczne, siwe oczy rozbiegały się zezem na odległe placówki. O zmroku wystarczał sam głos, huczący basem znanego pułkownika, albo skrzeczący przeraźliwym wrzaskiem noworodka.

Właściwie było tak, że każdy coś tam już o sobie powiedział. Wiedzano, gdzie i jak nadarzyła się choroba, czy rana, skąd się kto wziął i kto go rodzi. Gdy rozdano pocztę, czytano sobie wzajem listy, składając poszarpane, kulasowate litery, jak się dało. Sąsiedzi — i ci bliscy, i ci z najdalszych łózek — wyspowiadali się sobie z tajemnych spraw rodzinnych, z ilości mórg i dziecków, niemal z każdego bydłatka i prosiaka. A kto był z miasta, czy miasteczka, nie ukrywał przed wsiowymi odmiennej doli i niedoli, uczciwie tłumacząc swojego stanu szarą pracą i jaki taki zarobek.

Aż wreszcie wszyscy stali się tam niby jedna rodzina, lubiąca się i swarząca, przyjacielska i boczkiem plotkująca; bo chociaż jednakie było, a nawet niegorsze jadło, chociaż jednakiej miary i niewygody było legowisko, zawsze rozmaicie odzywało się serce sercu i oczy patrzyły w oczy nie tym samym blaskiem. Jednostajne dnie, bo mierzone ściśle od śniadania przez obiad do kolacji, a wizytą lekarza opukane i osłuchane, zaś często gorzkim proszkiem, czy łyżką mdłego lekarstwa paskudzone — urozmaicały się tem pospólnym życiem, do którego przecież każdy wnosił swój posag przeszłości.

O jednym tylko Błazku mało co, albo i nic nie wiedzano. Rozsypał się między wszystkich, jak ziarna po grudzie. Niczem głodne gawrony, dziobali koledzy

ego radosne figle, ale żadnemu nie przyszło na myśl rozpytać się, a wywiedzieć, czyli też chłopak wiejski, czy może nawet miejski inteligent.

Nikt się nie zatroszczył o jego godziny milczenia, bo zawsze można je było przerwać żądaniem żartu.

Gdy się tu swego czasu przytaszczył z plecakiem, niby wielbłąd szary, a garbaty, w mundurze, który wyszedł z gardzieli dezynfekcji; gdy tak odrazu głośno i śmiało zahukał psim kaszlem i żółte policzki pofałdował w szmatkę,—wszyscy mieli zabawę z nowego towarzysza. Pazurki zaczepki nie miały się jednak jego gładkiego dowcipu, bo, niczem siłacz w ręcznym boju, dał na gębę wszystkim radę. Lecz niemal odrazu ułożyło się, że ani nikt jemu wprost swoich bolączek nie objawiał, ani też jego nie pytano nawet o rodowód choroby.

A tymczasem z powodu Błażka rozświergotali się chorzy, jak wróble na stercie. Zdechłakom, powracającym do zdrowia, było dobrze z nowym towarzyszem. Trzymali się go, jak kleszcz skóry. Ale gdy kto odchodził ze szpitala tam, gdzie Bóg i lekarz przeznaczył, gdy któryś, zasmucony zdrowiem, szedł z powrotem na wojenną poniewierkę,—już nawet nie spojrzał w stronę wesołka, bo mu w tej chwili żaden żart nie mógł przeinaczyć losu. Ścisnęło się tylko prawice przyjaciół, najbliższych spowiedników, i z posępną myślą opuszczano ciche dnie i wieczory szpitalne.

Nikt wtedy nie miał czasu, ni ochoty patrzeć na Błażka. Koledzy wlekli się ślad w ślad za tymi, którzy tak smutno żegnali—może i na wieki—miłą kompanję. Błażek ostawał sam, a wargi jego, nawykłe do rozciągliwego grymasu śmiechu, odpoczywały, ciasno zwarte i nieme. Oczy zestrzelały się w jeden punkt, biorąc daleki cel własnych zadumań. Bo dopiero, gdy cudza niedola obmiotła go samotnością, mógł przypomnieć samego siebie, mógł niby zważyć swój własny, ludzki ciężar.

I tak niewdzięcznie porzucony na niedługą chwilę, Błażek jakby sam siebie nanowo poznawał. Zdumiona pamięć przypominała sobie jakieś wiele, czy małowarte urywki wydarzeń i swoje z nimi obcowanie.

Podchodziły wtedy wczesne sprawy dzieciństwa z wielkiej kamienicy, i, jak śmieszne króliki, węszyły noskiem nad zieloną trawą jakiejs tam podwórzowej grządeczki.

Złaziły się też szkolne godziny para za parą, rozpędzane krzykiem pauz, niby zagnały wybuchającym płomieniem. Nudziło się nad nimi serce chłopca i odrzucało coprędzej ten wybrakowany towar wspomnień. Za to miłym, wyliczonym spokojem przypominały się wysokie ściany magazynu towarów żelaznych, te żółte półki, pokratkowane na przegrody, niczem plaster miodu. Za ladą kadłub Błażka przyuczał się składnych ukłonów, a oczy — uprzejmej i cierplivej

uwagi. Z garnkami, garnuszkami, imbrykami, żelazkami, moździerzami i patelniami zawarta była przyjaźń i znajoma zgoda. Wszystkie przedmioty miały przecież swój własny kształt i żywą fizjognomję.

Można było z czystym sumieniem i z życzliwą myślą zachwalać aluminiowy imbryk, który białym, cichym łabędziem płynął po lśniącej ladzie. Garnek był, jak pękata gosposia, polerowana tłuszczem smakowitego rosołu. Patelnie, niby duże liście łopuchu, kładły się posłusznie przed oczyma kupujących.

A właśnie ci kupujący wiernie przynosili do sklepu swój ludzki obyczaj. Więc lekkość — w pobieżnym badaniu towaru; akuratność — w marudzeniu nad każdą skazą glazury; skąpstwo — w ciężkim namyśle nad ceną. Kogoś wpędzał huragan pośpiechu i czynił się gwałt, szcęk, rumor! A ktoś znowu w długich kwadransach umieszczał swój wolny, na nic niepotrzebny czas. Boczny błyskiem oczu można było zawsze chwycić okruszynki radości, zbierać promyki uśmiechów. Bo właśnie przy ladzie z prawej strony migwały białe ręce Kazi i jej czarna główka lśniła najcudowniejszą, niemal granatową emalią.

Niebieskawy mrok sklepu, pobrzęk wszelakiego żelastwa — i oto już inny dzień, dzień wojny. Coś trzeba było w sobie odmienić, a czegoś na wieki nie zapomnieć. Nie zapomnieć! Od czegoś trzeba było odwrócić się, a ku czemuś zawsze wysyłać oczy, aby widzieć bez ochyby, jak to tam, przy bocznej ladzie... Należało czujnie śledzić, czy zawsze trzeboce w tamtych oczach smutek pożegnania, jak czarne skrzydło jaskółki, i czy usta jeszcze tak samo rodzą czerwone słowo miłości. Poprzez krwawy grzbiet wojny, poprzez szarą płachtę niemocy ścieliła się nieomylna droga pamięci. A na kartkach listów tknęła się koronka słów: Moja kochana — Mój kochany.

Aż raz — nietylko kule, odłamki szrapneli, czy obłoki gazów ranią i zabijają na wojnie — aż raz przyszedł taki list...

— Błażek!!!

Wyrwano go z czarnej ziemi wspomnień, bo tamci już pojechali, a ich łóżka bez sienników smuciły, jak szkielety. Zanim przyjdą nowi towarzysze, zmniejszoną gromadę ścisła obręcz żalu. Ale Błażek, posłuszny wezwaniu, ciął już na odlew żartem i śmiech zasypał ślady po tych, co odeszli.

I znowu posiał się szpitalny zmierzch szarym szmerem rozmowy. Rozsnuły się pasma tęsknoty, jak dymy na odwieczerz. Oczy zabłądziły w ciemności, a słowa rozpięły się na sercach, niby tkanina na krosnach. Każdy haftował swój deseń najpiękniejszą nitką uczuć. Bo rozgadano się, ni stąd ni zowąd o miłości i kobietach.

Głosy zagruchały głęboko w gardle, wzburzył się bieg krwi ku gorącym wspomnieniom. A potem już na wyścigi popędziły opowiadania, albo grzęzły w mialkim pyłe słów najtajniejsze zwierzenia. Wtedy niejeden dorzucał coś grubszą mową, i zwolna, zwol-

na schodziła miłość z wysokich piedestałów, zniżając się ku sprośnym przyśmiejcom. Lecz już ktoś inny pośpieszył z rycerską pomocą i wydzwignął ją znowu na szczyt wieczystej łaski, aby spragnione usta mógł spalać nieugaszony żar. Gąbczasty zmrok wchłaniał w siebie czyjeś zwycięstwa i czyjeś klęski. Ten przechwalnie wyliczał swoje trofea, a ów żalił się na niedościgłość szczęścia w miłości.

Na końcu nikt już nie odróżniał w ciemności, czyja to spowiedź, albo z doświadczenia wyrosła sentencja ubrała się w żywy głos ludzki i ujawnia się wszem

wobec. Przeplatały się tylko zdania i opowieści, i klębiło się w dusznej sali pragnienie mężczyzn, tęskniących za kobietą.

I dlatego tak strasznym wydał się wszystkim cichy, skulony w jakimś kącie płacz. Zamilkli. Słuch, wysłany na wywiad, długo szukał w gęstwinie ciemności. Aż ktoś, zorientowawszy się w topografii sali, sam sobie nie wierząc, zawołał:

— Błaze!!!

Czkawka szlochu zaplatała się w mierzwie poduszki.

W. MIŁASZEWSKA

8

KACZĘTA

(powieść)

30 lipca

Z porządkami tak jakby koniec. Mam więcej czasu, to sobie zasiądę do tego dzienniczka i będę pisała, co mi do głowy przyjdzie.

Bardzo dziwnie wygląda nasz dom, kiedy jest taki pusty. Czasami, w zimie, jak wszyscy są, to sobie wzdycham, żeby odpocząć, wzdycham do ciszy, do samotności, do tej odrobiny spokoju. A znowu, jak zostanę sama, zaczynam tęsknić. Taką już mam naturę, że mi zawsze za czemś tęskno.

Pamiętam, że jak pan Kazimierz przychodził dawniej tak często, nieraz wzdychałam pocichutku, żeby sobie już poszedł, i patrzyłam ukradkiem na zegar. Nie dlatego, żeby mi z nim było źle, czy nie-swojo. Nie. Wtedy kochałam go bardzo. Ale jak odszedł, to mogłam dowoli myśleć o nim. Tęskniłam wówczas strasznie i czasem płakałam z godzinę, albo i więcej. Kiedyś nie przyszedł tydzień, bo miał pilne zajęcie. Retyl miejsca sobie znaleźć nie mogłam. Chodziłam od okna do drzwi, od drzwi do okna i nasłuchiwałam dzwonka. W pracowni mi się kolory myliły; pamiętam, że zrobiłam jedną różę zupełnie na lewą stronę: wszystko z tęsknoty, z niepokoju.

A potem przyszedł,—myślałam, że umrę z radości, ale się znowu zaczęło to samo. Raz mię pan Kazimierz w rękę pocałował. Tak sobie, czy przez pomyłkę, bo w pokoju były aż 3 mężatki, to mu się może i pomyliło. To potem, jak mię w tę rękę pocałował, nie mogłam już o niczem innem myśleć, tylko precz w kółko:

Żeby sobie poszedł! Żeby już sobie poszedł...

Bardzo długo czułam ten pocałunek na rękę i wieczorem zasnąć nie mogłam. Wciąż mi w pamięci stała ta chwila, gdy on moją rękę podniósł i do ust przycisnął.

Potem mię jeszcze trzy razy w rękę pocałował. Dwa razy w ogrodzie botanicznym, a trzeci raz na pożegnanie, jakeśmy sobie powiedzieli wszystko szczerze. Ale to już nie było to samo, co ten pierwszy raz, taki niespodziewany...

Jakeśmy się zegnali, to ten jego pocałunek był długi i smutny, a ja miałam oczy pełne łez i jak przez mgłę widziałam wszystko.

Pan Kazimierz, wstając, powiedział:

— Niech pani do mnie, panno Justyno, urazy nie chowa, bo już tak widać sądzono i inaczej nie może być.

To ja tylko głową potakiwałam, że dobrze, bo mi wszystkie słowa w gardle więzły.

Potem sobie nieraz myślałam, że jednakże mogło być inaczej, a zwłaszcza, jak się od ludzi dowiedziałam, że ta żona, masarka, okropnie nim pomiata, i że on w tem małżeństwie wielkiego szczęścia nie znalazł.

Urazy do pana Kazimierza nie miałam ani przez chwilę, bo i za co? Że mi powiedział otwarcie: „pobrać się nie możemy, gdyż ja zarabiam zamało, żeby utrzymać dom, a wydatki mogłyby wzrosnąć”. Niby, że mogliśmy mieć dzieci.

Mój Boże! Z tą masarką miał tylko dwoje dzieci (jedno nie żyje), a wydatki nie przez to tak bardzo wzrosły, tylko że ona się stroiła i na głupstwa pieniądze wydawała, chociaż mu wniosła duży posag, więc się krzywić i na to nie powinien.

Ta moja miłość była piękna i czysta. Jak sobie teraz wszystko, dzień po dniu, zdarzenie po zdarzeniu przypominam, to mi się bardzo słodko na sercu robi,—takie to wszystko było jasne i proste, bez żadnych myśli ubocznych.

Adelcia, która skądś wywęszyła tę całą historję (może ja jej zresztą wspominałam coś pokrótce, a ona dośpiewała sobie), często się ze mnie jakby naigrawa.

Z mojej naiwności niby. Powiedziała kiedyś, że stworzona byłam na starą pannę.

Może być. Ale już wolę, że zostałam starą panną, niż żebym miała podobne w życiu przygody, jak to często obecnie młodziutkie panienki miewają.

Już dawno, Adelcia była jeszcze w piątej klasie, wpadła mi kiedyś w rękę kartka z jej dziennika. Ani szukałam umyślnie, ani ciekawa byłam, co ona tam wieczorami gryzmoli... Ot, poprostu, Adelcia, roztrzępana, jak zwykle, musiała karteczkę na ziemię upuścić. Rano, zobaczywszy, że Walerka jakiś papier wymiała, z przyzwyczajenia podniosłam, żeby zobaczyć, czy to nie co ważnego.

Jakem przeczytała pierwsze słowa, osłupiałam zupełnie.

Zaczynało się tak:

„Tadziu, Tadziu mój najdroższy! Ty mój... Myślę o tobie po nocach i sypiać nie mogę... Ciągłe mam w oczach twój obraz, a na ustach czuję Twoje wargi wilgotne. Twoje wargi czerwone, jak dojrzały owoc granatu... Kocham cię i pragnę Ciebie i pocałunków twoich... O przyjdź i weź mnie w ramiona, ukochany mój...”

Wzięłabym to za jakiś nieprzyzwoity ustęp, przepisany z książki, gdyby nie fakt, że Adelcia знаła jednego Tadzika, który był nawet jakimś bardzo dalekim jej kuzynem.

Jakby grom we mnie trafił.

— To to tak? — myślałam — To Adelcia takie rzeczy wypisuje, a pewnie i zamysła? Chryste Panie! Gdyby to Antosia widziała...

I zaraz serce mi się boleśnie ścisnęło, że ona musi widzieć wszystko z tamtego świata i pewnie z żalem patrzy na mnie, że tak źle pilnuję jej córki.

Wzięłam Adelcię w ostrą kuratelę. Na ulicę — ani kroku bezemnie; pilnowałam też, jak ten Tadek przychodził, żeby ani na chwilę nie zostali sami, albo udawałam, że wychodzę, a z za portjery bacznie śledziłam ich.

Niczego się nie doszedziałam. Czy byłam w pokoju, czy nie, — rozmawiali o ślizgawce, albo o tenisie, jeżeli to było latem, i tyle.

Nigdy żadnej tam mowy o ustach, jak owoc granatu, ani o pocałunkach wogóle.

Dopiero odetchnęłam trochę, ale tylko trochę, bo chociaż w tej całej pisaninie nie było ani za grosz prawdy, to przecież dosyć zmartwienia, że Adelci pocałunki po głowie chodzą... I jeszcze jakie pocałunki...

Okropnie długo się tem wszystkiem gnębiłam i dużo czasu minęło, zanim wytłumaczyłam sobie jakoś, że to nawet nie Adelci taka wyjątkowa natura i że list, czy pamiętnik, był zupełnie zmyślony. Prze-

konałam się potem, że nie tylko Adelcia taka, bo potem nieraz, jak przychodziły jej koleżanki, zasłyszałam niejedno. O czym tam nie było mowy! Zejdą się dwa, trzy podlotki, ledwie że z pieluszek wyrosłe, i potrafią parę godzin trajlować, a wszystko o miłości, o chłopcach, o flircie na wieczorkach, na ślizgawce, na majówce, wszędzie...

— Ten się kocha w tamtej, a ten w innej...

I szu-szu-szu — na ucho, rozmaite sekreta:

— A wiesz, Stasia, albo Gienia, albo Zosia to taka szalenie zakochana, że zupełnie nie jada i może nawet suchot dostanie!

Czyż ja nic nie wiem o miłości? Miłość, to takie powszechne uczucie, że go każdy człowiek na świecie, ot, jak słońca, choć troszeczkę, choć odrobinę zazna. Jednym towarzyszy miłość życie całe, innych wpół drogi nagle odbiega, a muśnie zlekka, ale zawsze tak, że serce zadrga wzruszeniem radosnem: oto ona!

I ja, stara panna, śmieszna, stara ciocia Justysia, kochałam i byłam kochana. Ale czy „miłość“ to znaczy mieć zaraz sprośne myśli o grzesznych pocałunkach... Pewnie, że słodkie być mogły pocałunki kochanej istoty, ale czy wolno o tem myśleć, kiedy na pocałunki nie pora?

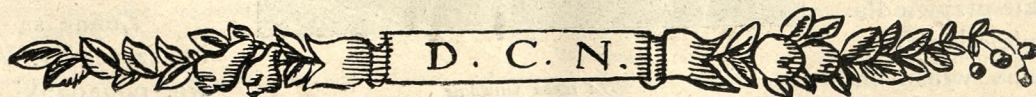
Mnie się zdaje, że głupie, niemoralne książki winne temu zepsuciu dzisiejszej młodzieży.

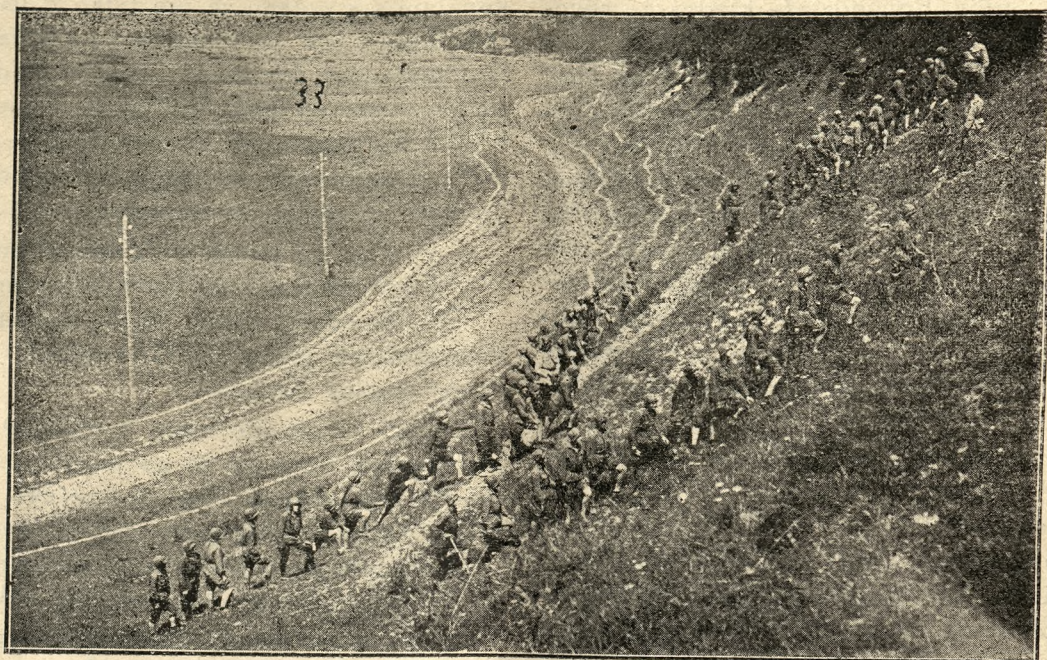
Co taka młoda dziewczyna, jak Adelcia, czytuje? Powieści, tylko powieści. A w każdej piszą o miłości, tylko o miłości, tylko! To i czemu się dziwić, że Adelcia czule dytyramby do wysnionych bohaterów wypisuje? Ona to wszystko z książek wzięła, bo skądby jaki owoc granatu? Jestem pewna, że Adelcia nigdy granatu nie widziała, tak, jak i ja.

A z tym Tadziem, to się skończyło bardzo prędko nawet jego przychodzenie do nas, bo go rodzice do Lublina wysłali, na praktykę aptekarską. Do Adelci nawet jednego listu nie napisał. Pewnie sobie znalazł inną gąskę, która czule za nim wzdychała i marzyła o nim po nocach.

4 sierpnia.

Teofil wrócił, a Staś później przyjedzie, bo się doskonale bawi w Leśniczówce i jego tam strasznie polubili. Leśniczy ma dwóch synów w wieku Stasia i córkę, niewiele co młodszą. Podobno codziennie prawie przyjeżdża ktoś z sąsiedztwa, więc sobie młodzi tańczą. Rano chłopcy dzień w dzień na polowanie chodzili, jak był Teofil. Nawet żeby deszcz padał, to szli w pole, do lasu, i czasem z jakąś tam kaczką wrócili, ale z niczem więcej, bo teraz na zajęcie polować niewolno, dopiero w jesieni.





Pochód tyraljerką w górę

PRZYSZŁE AMAZONKI

List z obozu żeńskiego przysposobienia wojskowego w Trembowli.

Otrzymałam list od p. Marji Podhorskiej, dzielnej organizatorki przysposobienia wojskowego kobiet, zresztą porucznika Legji Kobiecej z czasu wojny.— List z Trembowli, gdzie p. Podhorska kieruje obozem hufców szkolnych, z ramienia „Komitetu społecznego przysposobienia kobiet do obrony kraju”. List jest treściwy, rzeczowy, raczej lapidarny. Zawiera w sobie moc spokojnej siły, werwy i przywiązania do podjętej pracy ideowej. Spróbujmy w tę treść wniknąć.

„W Trembowli” — pisze p. Podhorska — „zgromadziło się 214 dziewcząt z seminarjów nauczycielskich i gimnazjów. Reprezentują wszystkie dzielnice polskie”.

Rój młodociany zleciał się zewsząd: są ciche, nieśmiałe napozór litwinki; solidne i prawdomówne w swej prostocie ślączki, rezolutne i czupurne warszawianki - mazurki; rozsądne pomorzanki, zapalne lwowianki, romantyczne krakowianki. A wszystkie przywiodła tu jedna, choć niejednakowa, chęć wypróbowania własnych

sił w marzeniu o bohaterstwie. Czy przypadek, czy zamiar organizatorek obozu działał, że ta gwarna gromadka dziewcząt zakwaterowała się właśnie w Trembowli, kresowym grodzie, który niegdyś męstwem jednej niewiasty poruszony, zasłużył sobie na chlubną

kartę w historii? Nie wiem tego. Lecz pamięć Zofji Chrzanowskiej rzucać tu musi cień wielkości na jasne, beztrudne serca kobiece.

„Historyczna przeszłość Trembowli i jej okolic” — referuje Komendantka obozu p. w. — „urozmaica wycieczki i dodaje im uroku. Zwiedzane mury starych zamków zdają się opowiadać legendę minionej przeszłości i zachęcać do podtrzymania rycerskich tradycji”.

Program prac i zajęć w obozie nie do czego innego też zmierza, jak do wyrobienia rycerskości, która jest dzielnością ciała i siłą ducha, przydatną równie „delikatnej niewieście”, jak „szorstkiemu mężczyźnie”.

Znane są już te programy i te szczegóły: Wykłady wojskowe, pogadanki wychowawcze,



Na rzece Gnieźnie

ideowo-moralne, ćwiczenia fizyczne i bronią, wreszcie gimnastyka, gry sportowe, lekka atletyka, wycieczki, kąpiel i pływanie.

Jest czem czas wypełnić od rana do wieczora! Humoru się nie traci — przeciwnie: zyskuje się zdrowy, szczery, gorący śmiech w dowcipnych przytykach wzajemnych, w wesołych piosenkach, które stwarzają okoliczności dnia.

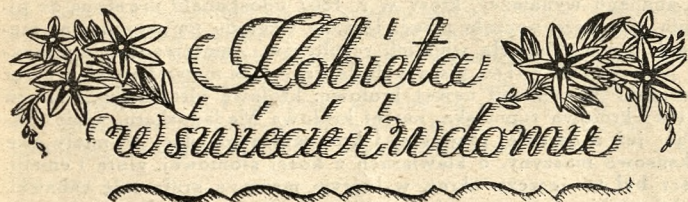
Kulminacyjnym punktem złego i dobrego jest rzeka Gniezna: Kąpiel i pływanie. Notabene — upały. Jak pohamować zapal wodny dziewczynek? Nikt go też nie hamuje: trzecia część uczestniczek obozu już nauczyła się pływania i skoków pływackich.

Lecz esencję bohaterstwa daje dopiero życie pod namiotami. Trembowła w gościnności swej ofiarowała hufcom żeńskim budynki szkolne: — kwaterunek w murach, jakież rozczarowanie! Ale na szczęście są i namioty. Pisz o tem p. por. Podhorska:

„Polowe zakwaterowanie stanowi wielką atrakcję dla młodych umysłów, zapalonych do życia obozowego, rwących się do trudów i bohaterskich przeżyć; to też wszystkie uczestniczki spędzają kolejno dwa tygodnie pod namiotami. Wracają zahartowane i dumne, z wiarą we własne siły i wytrzymałość“.

Każde słowo jest stwierdzeniem faktu, pozytywnego, cennego i w niczem nieprzesadzonego.

Dyscyplina fizyczna i moralna jest bez ceny dla ogółu dziewcząt naszych: z obozów nie wyjdą ani cielecia, ani gęsi, ani jędze, ani histeryczki... Ga.



PANI GUBERNATORKA WYSPY SARK

Na południowych wybrzeżach Anglii, na kanale La Manche znajduje się mała wyspa Sark, własność rządu, którą od czasu królowej Elżbiety zarządzają gubernatorzy, obdarzeni oficjalnym tytułem „Seigneur”. Sark zamieszkała jest przez 40 dzierżawców, płacących gubernatorowi czynsz w naturze: zbożem, drzewem i drobiem, oraz robocizną w tej formie, że każdy mieszkaniec pracować musi określoną liczbę dni w roku nad utrzymaniem w porządku dróg i budynków publicznych. Władzę wykonawczą stanowi gubernator z paru urzędnikami, prawodawczą — „Parlament”, złożony z 40 członków, każdy bowiem dzierżawca, czy dzierżawczyni w nim zasiada. Cała wyspa stanowi rodzaj rozrzuconej kolonii. Niema tu ani kolei, ani samochodu, ani nawet... kina. Jest jednak moc ogrodów, wzorowo utrzymane drogi, śliczne, czyste domki i stary, wielki budynek, „pałac” rządu, z mieszkaniem gubernatora, bodaj że czasy Stuartów pamiętający, choć w dniu płacenia podatków dziedziniec jego przypomina targowisko, zaopiełnione drobiem, inwentarzem i workami zboża.

Z dochodu tego gubernator płaci rządowi 50 szylingów rocznie: jest to cały podatek, wpływający z wyspy Sark do kasy państwowej!

Prawdziwe królestwo z bajki o królu Ćwieczku; i tylko, znając Anglię z jej przedziwnym, wzruszającym nieraz zamiłowaniem

do utrzymania starych, tradycyjnych praw i zobowiązań można zrozumieć istnienie „formy rządu” na wyspie Sark.

Gubernatorem tej „prowincji” została świeżo mianowana przez króla pani Dudley Beaumont, wdowa po oficerze, poległym w czasie wojny na froncie francuskim, i córka poprzedniego gubernatora, który zmarł niedawno.

Po śmierci męża, pani Beaumont zamieszkała u ojca i przez lat kilka zapoznała się dokładnie z administracją wyspy. Twierdzi, że jest bardzo szczęśliwa ze swej nominacji, nie zamierza wprowadzać żadnych zmian w patryarchalnym systemie zarządu swoją prowincją. I nie kupi sobie nawet samochodu, gdyż zepsułyby cały nastrój otoczenia. Przed kilku dniami dokonała pani Beaumont otwarcia sesji „parlamentu” i to jedynie sprawiło jej trochę trudności: musiała bowiem przemawiać w narzeczu miejscowem, tworząc mieszaninę języka staronormandzkiego z francuskim, któremu to narzecze mówi tu ludność od czasów Wilhelma Zdobywcy. Pomimo jednak pewnej trudności w wysłowieniu się, mowa pani gubernatorki uczyniła dobre wrażenie i przyjęta została gorącymi oklaskami. N. J.

WYŻSZA SZKOŁA SŁUŻĄCYCH W NOWYM YORKU

Pomimo, że stanowisko służącej domowej w Ameryce jest o wiele lepsze, niż w Europie, gdyż uważana jest za pomocnicę domową, dobrze płatną i grzecznie traktowaną, — młode dziewczęta, zwłaszcza w większych miastach, zaczęły uważać sobie ten obowiązek za poniżający. Wolały być sklepowniami, lub maszynistkami, za połowę pensji, pobieranej przez służącą, lecz nie pozabawiać się stanowiska i tytułu „miss”.

Panie amerykańskie ubolewały nad tem bardzo; zamiast, jednak, jak to bywa często u nas, ograniczyć się do narzekania — przeszły do energicznych środków w zaradczych. Postanowiono uczynić zawód służącej trudniejszym i nie od razu dostępnym dla wszystkich: obostrzyć go wyższym cenzusem naukowym! Istniały i dotychczas szkoły dla służących, były to jednak tylko zakłady nauki gotowania i najprostszych robót domowych. Obecnie założono w Nowym Yorku, — a za tym przykładem pójdą naturalnie za raz wszystkie większe miasta, — wyższą szkołę służących, która kształcić ma kobiety wykwalifikowane tak, jak do każdego innego zawodu. Wstęp do szkoły mają tylko dziewczęta, które ukończyły wykształcenie t. zw. średnie. Jest to program znacznie niższy od naszej matury, ale o szerszym zakresie, niż nasze szkoły powszechne.

Ta wyższa szkoła dla służących dzieli się na cały szereg kursów, obejmujących różne specjalności, każda z nich jednak traktowana jest naukowo. Podstawą każdego oddziału jest popularny, ale obszerny kurs chemii, fizyki i towaroznawstwa (przydałby się on napewno wielu paniom), oraz kurs higieny. Dopiero po przejściu tych teorii, następuje praktyczna nauka gotowania, sprzątnia i t. p. Prócz tego są jeszcze wykłady estetyki, praktyczne kursy ogrodnictwa pokojowego — pielęgnowania kwiatów i roślin, wykłady savoir vivre'u — dobrego zachowania się wobec państwa, gości i t. p. Kurs prawa krajowego, obznajmujący z konstytucją, prawem cywilnym i różnorodnymi ustawami obywatelskimi.

Tak wykształcona służąca otrzymuje dyplom, nadający jej pewne określone prerogatywy. Zarówno w szkole, jak i później, na posadzie nazywana jest zawsze „miss”, — nie wolno jej „tykać”. Nadto godziny jej pracy domowej są ściśle unormowane: 9 godzin dziennie, w których jednak jest obowiązana zrobić wszystko, co wchodzi w zakres jej pracy domowej. Poza temi godzinami jest wolna. Wynagrodzenie obliczono tak, aby życie i mieszkanie płatne były oddzielnie. Służąca taka może, jeśli jest to jej wygodniej, mieszkać u siebie i stołować się na mieście.

Naturalnie, że z usług tak wykwalifikowanej służącej korzystać będą tylko domy bardzo zamożne. Ale i dotychczas tylko takie domy mają w Ameryce służbę. Wobec rozwoju pensjonatów, z powodu stołowania się poza domem ludzi pracujących, oraz udoskonaleń w gospodarstwie, — uboższe, a nawet średnio-zamożne rodziny usługują sobie same.

Ci, którzy mogą pozwolić sobie na zbytek posiadania służącej, będą mieli pracownicę na wysokości zadania, wiedząc, że co płacą duże sumy. Wielka zaś ilość dziewcząt, lubiących zajęcia domowe, znajdzie pracę korzystną, a traktowaną narówni z innymi wolnymi zawodami. N. J.

CZEKOLADOWA TANCERKA — LITERATKA

Uroczą Józefina Bakker, czekoladowa ulubienica Paryża, championka charlestona, black-bottom'a i hebbie-jebbie, — po zdobyciu fortuny, sławy i tytułu hrabiny, — sięga obecnie zaborczą dłoń po laury literackie.

Wkrótce ukazać się w druku jej „Pamiętniki”, gdzie opisuje dzieje swojego krótkiego, ale obfitującego w uroczne niespodzianki, żywota.



Józefina Bakker

W rozdziale, zatytułowanym: „Kilka słów o piękności”, Józefina udziela swoim białym siostronom rad, niepozabawionych oryginalności.

„Aby dobrze spać, należy dużo tańczyć,” powiada ona; w dodatku sen wpływa doskonale na blask oczu.

Najlepszą wodą toaletową jest... woda deszczowa. Piękna kobieta musi posiadać piwnicę, dobrze zaopatrzoną w butelki wody z pod rynny.

Należy codziennie myć ramiona zapomocą szczotki z ostrego włosia.

Najlepszą kąpielą jest kąpiel w mleku z fiołków. Idealną gimnastyką jest codzienne pływanie (w braku mleka fiołkowego, można pływać w zwyczajnej wodzie).

Dla otrzymania pięknej karnacji konieczne jest smarować się na noc pomadą ogórkową i naparem z siemienia lnianego; prócz tego nie należy zapominać o codziennym nacieraniu twarzy surowymi owocami, w zależności od pory roku; poziomkami — w lecie, winogronami na jesieni, figami w zimie i ogórkiem — na wiosnę.

Powyższe przepisy mają być niezwykle skuteczne.

Kto nie wierzy, niech przymierzy.

R. C. H.

JEDNYM Z PIERWSZYCH STRONNIKÓW RÓWNOUPRAWNIENIA W AMERYCE BYŁ OJCIEC LINDBERGH

Niedawno — lat temu kilkanaście, gdy kobiety amerykańskie nie tylko nie posiadały równouprawnienia, ale były za agitację feministyczną wprost prześladowane przez policję, więzione i szykanowane nie mniej od sufrażystek angielskich, — znalazł się człowiek, skromny deputowany ligi farmerów do Kongresu waszyngtońskiego, który wniósł pod obrady Kongresu projekt przyznania kobietom pełnych praw politycznych.

Człowiekiem tym był Karol August Lindbergh, ojciec dzisiejszego bożyszcza Ameryki, lotnika Lindbergha.

Projekt jego nie uzyskał wówczas uznania — przeciwnie, rzucono się zjadale na odważnego posła, usiłując zabić go najokrutniejszą bronią — śmiesznością. Rozgoryczony Lindbergh usunął się z życia politycznego; w zaciszu domowym jednak nie zaparł się ani na chwilę tych przekonań i w myśl ich wychowywał syna. Dopomagała mu do tego dzielnie żona. Ta, dziś jeszcze młoda kobieta, którą cała prasa nazywa „czarującą matką bohatera”, poświęciła się po śmierci męża pracy nauczycielskiej, i dziś — gdy syn jej, po swem zwycięstwie nad przestrzenią, został milionerem, jednym z bogatszych w Ameryce, — pani Lindbergh nie chce słyszeć o spoczynku, o przerwaniu swej pracy.

— Mój syn jest tak wychowany, że napewno nie będzie miał do mnie żalu, iż nie chcę korzystać z jego majątku i będę pracować na siebie, jak dawniej, dopóki mi siły pozwolą, — oświadczyła pani Lindbergh dziennikarzom, zapytującym ją, czy teraz porzuci swoją szkołę.

Wiadomo wszystkim, jaką miłością i czcią otacza sławny lotnik matkę, dla której jest zawsze „starym, dużym chłopcem”, i jak w głębi duszy ten „duży chłopiec” pragnąłby dla niej wygody i odpoczynku. Nauczyła go jednak ona, że zawód, któremu się człowiek poświęca, powinien być zarówno dla mężczyzny, jak dla kobiety, nie tylko środkiem zdobycia pieniędzy, lecz umiłowanym celem w życiu. To też Lindbergh przyznaje matce słusność i nie żąda od niej zaprzestania pracy zawodowej.

Narodowa partja kobiet zebrała wszystkie dokumenty działalności feministycznej nieboszczyka Karola Lindbergha: bill o równouprawnieniu, wniesiony pod obrady Kongresu; list, pisany do prezydenta Wilsona, ze skargą na nadużycia policji podczas manifestacji kobiecych, i t. p.; postanowiono nadto wzniesić w Waszyngtonie pomnik temu pierwszemu bojownikowi równouprawnienia.

Bohaterski lotnik jest również stronnikiem absolutnej równości praw. Gdy wszędzie jeszcze prawie istnieją pewne zastrzeżenia przeciw równouprawnieniu w lotnictwie, Lindbergh oświadczył, że nie widzi żadnej przyczyny, któraby przeszkadzała kobiecie kierować aparatem, tak samo dobrze jak mężczyzna, i pierwszy przesłał najserdeczniejsze życzenia szczęśliwego przelotu nad oceanem lotnicze niemieckiej Thei Rasche.

Przewodnicząca Narodowej partji kobiet, pani Carrie Harrison, zwróciła się wobec tego do Lindbergha z propozycją, aby przyczynił się do zakładania w Ameryce szkół lotniczych, przyjmujących na równych prawach mężczyzn i kobiety, zaznaczając, że najlepiej uczci tem pamięć swego ojca i stwierdzi czynem swe przekonania o wartości pracy kobiet w lotnictwie. Lindbergh odpowiedział, że w zasadzie godzi się na ten projekt, prosząc tylko o pewien czas do namysłu, aby jak najlepiej go w życie wprowadzić.

N. J.

POD BERŁEM STENOTYPISTKI

Maszyna do pisania została, podobno, wynaleziona w roku 1814 przez angiaka, Henryka Milla. Lecz w jej udoskonaleniu brali udział liczni wynalazcy europejscy i amerykańscy, jak Progrin, Tonca, Thurber, Beach i t. d.

Jak powszechnie wiadomo, maszyna do pisania, to pole do triumfu feminizmu. Kobieta zdobyła sobie nowy zawód, w którym jest bez konkurencji. Wytworzył się typ „stenotypistki”, czy „dactylo”, jak powiedzieliby francuzi, która wysadziła, że tak się wyrażymy, z siodła dawnego, zgryźliwego biuralistę o palcach, oczekających atramentem.

Lecz pierwotnie maszyna nie była przedmiotem codziennego użytku, lecz raczej kosztownym cackiem, którem jednak przedewszystkiem interesowały się kobiety. Amerykanka, pani Weller, żona znanego wynalazcy, który w r. 1867 udoskonił maszynę do pisania, pierwsza poczęła pisać, lecz, ze względu na prymitywny mechanizm, nie osiągnęła wielkich rezultatów. Zainteresowanie maszyną jednak rosło. — Ten piszący fortepian, — jak mawiał pewien autor francuski — zaciekał nawet królowe: królowa hiszpańska, Carmen Sylva — królowa rumuńska, nawet królowa Madagaskaru, — nie mówiąc już o carowej rosyjskiej i królowej angielskiej — miały swe luksusowe maszyny, o klawiszach z kości słoniowej, złota i emalii. Lecz był to jeszcze okres, w którym maszyna grała rolę zabawki, ciekawostki: nie brano jej na serio. Z chwilą jednak, gdy zaczęły się nią posilkować biura i urzędy, odniosła już ona stanowczy triumf nad piórem i atramentem.

Od tego momentu stenotypistka staje się poszukiwaną, powstają specjalne kursy, szkoły; kobiety zdają w tej dziedzinie egzaminy, stają do konkursów.

Niedawno dopiero na plan pierwszy wysunęło się zagadnienie szybkości pisania. Panna Róża Fritz, amerykańka, osiągnęła czterokrotnie puhar Pattersona, jako nagrodę za szybkość, wynoszącą wówczas 60 wyrazów francuskich na minutę! Lecz dzisiaj laureatki amerykańskie osiągają już dwukrotnie większą szybkość!

Z pisaniem na maszynie ściśle wiąże się zagadnienie stenografji, której początków szukać należy aż w starożytności. Już grecy i rzymianie posługiwali się skrótami kaligraficznymi, czyli t. zw. tachigrafją i brachigrafją. Systemem, wynalezionym przez Tirona, sekretarza Cycerona, posilkowali się pisarze średniowieczni. Od tego czasu powstawały kolejno liczne systemy, że wymienimy tylko tablice Coulon'a de Thévenot, ofiarowane Bonapartemu za czasów konsulatu.

Znaczny postęp w stenografji zawdzięcza Francja p. Duployé, który stworzył metodę łatwą, dla wszystkich dostępną i niezwykle przejrzystą.

Znaczenie stenografji staje się zrozumiałe, gdy zastanowimy się nad rolą, jaką dziś w życiu narodów odgrywa żywe słowo, które jedynie tą metodą może być utrwalone. Minęły już dawno te czasy, gdy dobrej stenografistce obiecywano za pracę góry złota. Coraz więcej kobiet kształci się w tym kierunku w licznych szkołach zawodowych. Konkurencja staje się dla pracownic nieco uciąż-

liwa, niemniej jednak rzesze kobiet poświęcają się stenografii i pisanu na maszynie. I rzec można śmiało, jest to dziś nader szlachetny zawód. Niewątpliwie mamy w nim całą drabinę hierarchiczną, poczynając od zwykłej maszynistki, a skończywszy na wykwalifikowanej sekretarce, władającej wielu językami i posługującej się z łatwością maszyną do pisania, a nawet maszyną do stenografowania, bo i takie istnieją. Stenotypistka króluje dziś wszędzie: — w biurach, kancelariach, urzędach.

Satyrzyści i karykaturzyści uśmiechają się często, gdy o niej mowa, ale więcej w tym uśmiechu sympatii, niż złośliwości.

Berko spoczywa dziś w tej małej dłoni.

PORAŻKA PRZECIWNIAK PRACY KOBIEC

Od pewnego czasu zaostrzyła się niezmiernie w Anglii konkurencja i walka o byt między mężczyzną i kobietą. Ponieważ, jak wiadomo, kobiet znajduje się tu o wiele więcej, pracownicy mężczyźni poruszają wszystkie sprężyny, aby dowiedzieć, że kobieta jest gorszą pracowniczką i zdystansować ją. Do najzacieśszych przeciwników pracy zawodowej kobiet, należy znany przemysłowiec, sir Abe Baily. Na odbytym tu niedawno Kongresie Ligi Pracy sir Baily oświadczył, że uważa pracę kobiet w urzędach, handlu i przemyśle za wręcz szkodliwą i nie zatrudnia w swych zakładach ani jednej pracownicy! Kobieta powinna poświęcić się tylko specjalnie kobiecym rzemiosłom, lub... wyjść za mąż, a nie odbierać chleba mężczyźnie!

Po tem oświadczeniu podniosła się prawdziwa burza protestów, i to ze strony najpoważniejszych członków Kongresu. Wielki przedsiębiorca londyński Gordon Selfridge oznajmił w odpowiedzi, że nie wyobraża sobie swoich biur bez kobiet, są one bowiem doskonałymi pracownicami i właśnie ich konkurencja zmusza mężczyzn do porządnej pracy. To samo stwierdził sir Woodman Burbridge, dyrektor wielkich zakładów przemysłowych Harrode. — Mężczyzna — mówił on, — posiada i tak o wiele więcej szans zyskania dobrego stanowiska, niż kobieta; jeżeli nie może dostać posady, to napewno przeszkadza mu do tego, albo jakiś wyjątkowy zbieg okoliczności, albo jego nieudolność, lub lenistwo, w każdym razie nie konkurencja kobiety. Wreszcie major Tryon przytoczył dane statystyczne, z których wynika, iż ilość kobiet przewyższa o tyle w Anglii liczbę mężczyzn, że zaledwie 40 procent kobiet może wyjść za mąż — czy więc pozostałe skazane być mają na śmierć głodową w braku pracy?

Najbardziej jednak zabawnym i złośliwym incydentem w kampanii przeciw p. Baily stała się interpelacja jednego z dziennikarzy. Pan ten zapytał przeciwnika kobiet, co sądzi o nich, jako o lotniczkach? Sir Abe odpowiedział, że nie może zrozumieć, jak można pozwolić kobietom kierować samolotem. Zdanie to wywołało niepowstrzymaną wesołość audytorjum, gdyż pani Baily jest jedną z najlepszych lotniczek angielskich i właśnie na kilka dni przed Kongresem zyskała rekord wysokości w Anglii.

Niewiadomo, co usłyszał sir Abe po powrocie do domu, za tyle złośliwości w stosunku do pracy kobiet. Na Kongresie argumenty jego zostały całkowicie zdyskredytowane.

N. J.

STUDJA UNIWERSYTECKIE KOBIEC W AUSTRJI

Prasa austriacka omawia obecnie b. żywo sprawę wyższego wykształcenia kobiet. Jak się okazuje, Austria stała w tym względzie daleko poza innymi krajami Europy środkowej, gdyż w zeszłym roku szkolnym w 148 szkołach średnich państwa było 35,930, uczniów, a tylko 12,085 uczennic. W trzech zaś uniwersytetach: w Wiedniu, Gracu i Innsbrucku — tylko 2214 słuchaczek. W tym roku zapisy do szkół średnich są już prawie ukończone i napływ dziewczyn jest znacznie większy: w klasach niższych dochodzi do 50 procent. Przewidując, że w tym samym stopniu wzrosły zapisy do uniwersytetów, dzienniki zastanawiają się, jakie też specjalności obrały słuchaczki?

Odpowiedź na to pytanie rzuca charakterystyczne światło na stosunek kobiet austriackich do sprawy wykształcenia uniwersyteckiego. Uważane jest ono przez nie widocznie za jakąś drogą do tak zw. „uczoności“ wyłącznie, a nie za przygotowanie do życia praktycznego. Z 2214 słuchaczek uniwersytetów austriackich, dwie studjują teologię ewangelicką, 473 — medycynę, dwie — wyraźnie dwie! — prawo i 1737... filozofję!

Nie można, wobec tych cyfr, odmówić pewnej słuszności prasie, która zapytuje, co poczną tych 1737 filozofek? — czy nie stworzą one umysłowego proletariatu, zwłaszcza wobec niezbyt pomyślnych warunków finansowych kraju?

Kobiety austriackie powinnyby stanowczo zrewidować swój stosunek do wyższego wykształcenia.

N. J.



Międzynarodowy Kongres Kobiety C. G. T.

MIĘDZYNARODOWY KONGRES KOBIEC GENERALNEJ KONFEDERACJI PRACY

Przed niedawnym czasem odbył się w Paryżu międzynarodowy Kongres Kobiety Generalnej Konfederacji Pracy. Ilustracja nasza przedstawia członkinie biura zjazdu: od lewej do prawej — panie: Gertruda Hanno, miss Crone, pani Sassendayh (przewodnicząca), Chevnard, miss Varley, p. Helena Buriaux.

Z ŻYCIA WSPÓŁCZESNEJ STUDENTKI AMERYKAŃSKIEJ

Życie studentek amerykańskich różni się bardzo od życia studentek innych narodowości. — Studentka amerykańska wymaga od uniwersytetu, lub „College“, t.j. uniwersytetu prywatnego, nie specjalizacji, lecz wszechstronnego wykształcenia. Nauka trwa cztery lata i jest podzielona na cztery kursy.

Studentki pierwszego kursu nazywają się „Freshmen“, drugiego „Sophomores“, trzeciego „Yuniors“ i nareszcie czwartego kursu „Seniors“. Większe „College“, mające wziętość, chcąc zapewnić najdogodniejsze warunki dla studjów — mianowicie spokój i zdrowotność — są zbudowane na wsi, w pobliżu wielkiego miasta. Samo „College“ stanowi jakby małe miasto, położone wśród olbrzymiego parku, noszącego nazwę „Campus“. Ponieważ sporty mają doniosłe znaczenie w życiu amerykańskiej studentki, zwykle urządzone są na brzegu jeziora boiska dla „Hockey“, „baseball“ i t. d. Studentka po powrocie z wakacji wita piękne stare drzewa w parku, niby swych zaufanych powierników.

Jedno z największych „College“ znajduje się w pobliżu Bostonu; mieści w sobie dwa tysiące studentek, dwustu profesorów i cały zastęp służby. — Dla studentek zbudowano cały szereg małych, komfortowych domków; każda z nich posiada swój oddzielny pokój, korzystając oprócz tego z dużego salonu, w którym przyjmuje przyjaciół i gości.

Studentki pierwszego kursu, tak zwane „Freshmen“, zamieszkują w sąsiedniej wsi; mają one wspólne pokoje „Dormitories“. Wspólne życie bardzo dodatnio wpływa na urobienie charakteru: wywiązują się często dyskusje na różne tematy, rodząc nieraz myśl piękną. Jednak to ciągle przebywanie razem ma również strony ujemne. Wyłącznie kobieca atmosfera wytwarza emulację, często wynikają kłótnie i rozterki.

Studentki pierwszego kursu przed rozpoczęciem roku szkolnego przechodzą przez cały szereg udręczeń: przedewszystkiem podlegają bardzo ściśłym oględzinom lekarskim; wymagane są od nich różne informacje, dotyczące się ich przeszłości i rodziców; następnie zostają zmierzone i zważone bardzo skrupulatnie, poczem udają się do tak zwanego laboratorium psychologicznego, gdzie oczekują ich nowe udręki; nareszcie wprowadzają je do biura konfesyjonału: tutaj obowiązane są ściśle określić i odpowiedzieć, dlaczego wstępują do College? dlaczego wybrały „Wellesley“ a nie inne, jakie stanowisko zajmują rodzice? Czy rozporządzają dużymi środkami? Jaki jest ich stan materialny i t. d. — Nie dość na tem: studentka obowiązana jest napisać swoje „Curriculum vitae“ i sprawozdanie z poprzednich biur. — Po załatwieniu tych formalności, studentka musi uczynić wybór w dziedzinie sportu, musi

zdecydować się, czy chce zostać członkiem stowarzyszenia chrześcijańskiego, lub klubu atletycznego, czy też zapisuje się do klubu muzycznego, matematycznego, dramatycznego, lub do College News. Pozatem studentka powinna zaopatrzyć się we wszystko, co potrzebne jest do kursu botaniki, zoologii, lekcji śpiewu. S. S.

DOBREMI MATEMATYCZKAMI TEŻ BYĆ POTRAFIMY

Na uniwersytecie berlińskim habilitowała się, jako docent matematyki, pani Hilda Polaczek-Geiringer, wiedenka, długoletnia asystentka instytutu matematycznego. Pani Polaczek odznaczyła się w pracach nad teorią mechaniki i rachunku prawdopodobieństwa. N. J.

KONGRES MŁODZIEŻY KATOLICKIEJ „PAX ROMANA”

W dniach 11, 12, 13 i 14 sierpnia odbył się w Warszawie międzynarodowy zjazd młodzieży katolickiej organizacji „Pax Romana”.

W dniu otwarcia Kongresu aula uniwersytetu warszawskiego zappełniła się gośćmi, delegatami ze wszystkich krajów Europy, a nawet dalekich, egzotycznych krain: z Indji i Japonji. Z Warszawy obecni byli: J. E. ks. Biskup Gall, p. minister Niezabykowski, dyrektor departamentu zachodniego M. S. Z., Rozner, wiceprezes rady miejskiej p. Rogowicz, wiceprezydent miasta p. Borzęcki, przedstawicielki stowarzyszeń kobiecych: p. Kołakowska z Narodowej organizacji kobiet i p. Chrostowska ze Związku Katolickiego Polek; duchowieństwo, posłowie, oraz organizacja akademicka „Odrodzenie” i korporacja „Laudanja”.

Zjazd rozpoczął hymnem papieskim i hymnem polskim, poczem p. Kobyłecki powitał przybyłych, zapraszając do przewodnictwa prezesa organizacji „Pax Romana” p. Orlikowskiego.

Dalsze mowy powitalne wygłosili: p. Rozner, prof. T. Zieliński, wiceprezydent Borzęcki, p. Klawer od Tow. przyjaciół młodzieży, ks. Lewandowicz od „Odrodzenia”, pp.: Chrostowska i Kołakowska, ks. Przygodzki i p. Witwicki w imieniu „Laudanji”.

Ciekawe i wzruszające były przemówienia delegatów zagranicznych. W imieniu Anglii mówił ks. prałat Sonne, przypominając działalność kulturalną Polski, którą nazwał „dzieckiem Opatrzności”, skoro wydać mogła wielkich świętych, jak św. Stanisław Kostka.

O świętym młodzianku Stanisławie mówił również przedstawiciel Austrii, ks. Rudolf, w pięknym wspomnieniu historycznym, zaznaczając w dalszym ciągu, że Austria zawsze cześci i pamięta oswobodziciela Wiednia — Jana Sobieskiego.

Delegat Belgji p. Chevelle wyraził podziw dla Polski, że tyle zniosła prześladowań i dziś tak szybko i dzielnie się rozwija. Naród belgijski pełen jest serdecznego uznania i miłości siostrzanej dla Polski.

Dalej przemawiali delegaci: Pokorny — Czechosłowacji, Remond — Francji, Coeberg — Holandji, O'Brien — Irlandji, porównując swoją ojczyznę z Polską, taksamo walczącą o wolność; Nagi — Jugosławji, dr. Jörisen — Niemiec, Allet — Szwajcarii, z chlubą wspominając, że na jego ziemi gościli Kościuszko i Sienkiewicz — dr. Palmieri — Włoch, Ruszan — Węgier; wreszcie ks. Gremaud w imieniu sekretariatu głównego organizacji, i hindus A. d'Abres, który stwierdził, że zna dzieje Polski z dzieł Sienkiewicza.

Po przemówieniach odczytano depezę z błogosławieństwem Ojca Świętego i zakończono obrady hymnem „Gaudeamus”.

Następnego dnia, po mszy św. w kościele Wizytek, rozpoczęły się o godz. 10^{1/2} obrady i konferencje komisji. Po południu goście zwiedzali miasto, a wieczorem odbyło się przyjęcie w lokalu Kasyna oficerskiego.

Trzeci dzień obrad rozpoczął od wysłania depezy do J.E. ks. kardynała prymasa Hlonda. Poczem nastąpiły referaty.

Ks. Walker z Anglii skreślił obraz rozwoju ruchu katolickiego w Anglii. Katolicyzm rozwija się tam bardzo intensywnie, do czego wydatnie przyczynia się inteligencja i młodzież akademicka.

Ks. Gremaud, szwajcar, omawiał stosunek idei katolickiej do Ligi Narodów, zaznaczając, że jest za współdziałaniem z Ligą, pod warunkiem jednakże, aby katolicyzm uznany został, jako pierw-

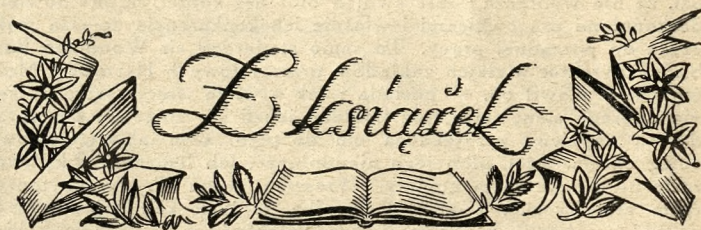
sorzędna siła w regulowaniu stosunków międzynarodowych natury moralno-wychowawczej.

P. Witwicki skreślił obraz niebezpieczeństwa idei bolszewickich w życiu młodzieży. Dążący do wyjścia poza granice Rosji i szerzenia w całym świecie swej propagandy, bolszewizm napotyka na swej drodze Polskę, która walczy z jego ideami. Ta walka jest najświętszym obowiązkiem całego narodu, lecz szczególnie jej inteligencji i młodzieży katolickiej.

Po południu odbyły się liczne obrady komisji i konferencje, między innymi, na temat stosunku akcji „Pax Romana” do Ligi Narodów, oraz duszpasterstwa w organizacjach młodzieży, co ma być przedmiotem obrad następnego kongresu.

W niedzielę, po złożeniu hołdu J. Em. kard. Kakowskiemu, uczestnicy Kongresu zwiedzili Wilanów, poczem w nocy wyjechali do Częstochowy na odpust Wniebowzięcia N. M. P., a stamtąd do Krakowa.

Młodzież polska zdobyła sobie poważne stanowisko w organizacji „Pax Romana”. Organizacja ta posiada stały komitet, którego członkami są przedstawiciele: Anglii, Austrii, Belgji, Włoch i Węgier; wiceprezesami: — delegat Holandji — Loeberg i delegatka Niemiec — doktorka Jörisen, prezesem zaś — polak p. Orlikowski. Na wszystkich Kongresach przedstawiciele Polski wchodzili do komitetu, i tak: w r. 1924 w Budapeszcie — p. Danuta Drużbacka, w r. 1925 w Bolonji — p. Orlikowski, jako wiceprezes i w Amsterdamie w r. 1926, jako prezes Kongresu. N. J.



Clement Vautel. „Proboszcz wśród biedaków”. Powieść
Polski Instytut Wydawniczy „Sfinks”, Warszawa 1927 r.

Francja powojenna, tak bardzo różna od tej dawniejszej, przedwojennej, posiada już obecnie cały szereg pisarzy, którzy starają się w swych utworach rzucić przed oczy czytelników syntezę doby obecnej.

Do jednych z najwybitniejszych pisarzy tego typu należy bezwątpienia Clement Vautel. Szczególniej dwie jego powieści: „Proboszcz wśród bogaczy” i „Proboszcz wśród biedaków” — godzą całkiem niedwuznacznie w tę powojenną Francję, w życie, zawojowane przez „nuworiszów” w kłamstwo i obłudę tak zwanych zbawców ludu, przeciwstawiając temu całemu złu typ proboszcza Pellegrin, uosobienie prawdy i prostoty. Całość jest traktowana może cokolwiek satyrycznie, nie mniej jednak wzbudza niesłychanie wiele sympatii dla tego proboszcza, który pragnie odnaleźć istotę współczesnego życia w jaknajprostszym, dosłownym jego pojmowaniu. Filozofja jego w wielu wypadkach przypomina nam niesłychanie Colas Breugnon odnalazł szczęście w takim właśnie pojmowaniu życia, a ksiądz Pellegrin wrócił zniechęcony do normy szarej codzienności. Może powodem tego były zbyt społeczne jego zamiary, a może właśnie powojenna Francja zbyt krzywemi szła drogami, aby zrozumieć tę jedną, prostą, księdza Pellegrin.

„Proboszcz wśród biedaków” porusza bodaj jeszcze głębsze zagadnienie, niż „Proboszcz wśród bogaczy”. To już nie aktualność tylko — ale dużo, bardzo dużo odnajdziemy w tej książce zagadnień wieczyście żywych i... bolesnych.

Co się tyczy tłumaczenia, to muszę nadmienić, że jest ono o tyle niedociągnięte, że naprawdę daje słabe tylko pojęcie o stylu Clement Vautel'a. — A szkoda.

Z. M.

„Z DALEKICH KRESÓW“

(Kobieta kresowa)

Daleko na północ od stolicy, na pograniczu obecnej Litwy i cudnych,—polską krwią i polskim orężem na bolszewikach zdobytych i bez żadnych zastrzeżeń Łotyszom oddanych—Inflant Polskich, leży dawny powiat Jezioroski—dzisiaj Braclawskim zwany. Czemu nie zwrócono tej pięknej krainie jej nazwy z przed 63 roku, stanowi to jedną z licznych, trudnych do odgadnienia, tajemnic naszej biurokracji. Wprawdzie same dawne Jeziorosy, (później z nakazu carskiego Nowo-Aleksandrowsk) pozostały po stronie Litwy, lecz cudne jeziora, pokrywając gęstą siecią kraj cały: — Dryświaty i Narocz, Obole i Bohiń, Dukszy i Braclawskie, Drywiaty i setki innych — usprawiedliwiałyby tę śliczną, czysto polską nazwę. Bo kraj to rdzennie polski, — polski mimo długiej, moskiewskiej niewoli,—lud cały mówi po polsku,—jeśli są tu różne prowincjonalizmy, to niema ich stanowczo więcej, niż na Mazowszu, lub w Krakowskim, a wymowa, choć przeciągła, jest stanowczo czystsza, niż tam, w sercu Polski. Język polski, to język do rozmowy z pracodawcą, z władzami i między sobą od święta; na codzień używa się gwary, zwanej powszechnie: „po tutejszemu“, „po prostemu“, która jednak nie jest białoruskiem narzeczem, a jakąś zepsutą i do codziennych potrzeb wieśniaka zastosowaną polszczyzną.

Gdy mieszkaniowiec stolicy wysiadzie w Duksztach, (ostatnia stacja przed pogranicznym z Łotwą Turmontem,) z luksusowego pośpiesznego pociągu, w którym duże przebyte przestrzenie zaledwie odczuwa z przeciągłej mowy konduktorów i współpodróżnych od Grodna, lub Wilna,—odrazu znajdzie się jakby gdzieś na innej planecie.

Kurjer przystanął małą minutkę, gwizdnął przeciągle i ruszył dalej.

Kilkudziesięciu podróżnych, — w tem dużo, ach jak dużo mniejszości narodowej, — po daremnych próbach oświeżenia się w tak zwanym bufecie, gdzie mleka niema, bo jeszcze krowy „nie podojone“, a ranne „już skiszy, ale nie zsiadłszy się“, herbata mętna, jak błoto, a napis „Lody“ tai w sobie tylko może nawet nieziszczalną nigdy obietnicę, że będą one kiedyś zrobione,—powoli rusza ku malusieńkiemu pociągowi z malusich wagoników, z malusią lokomotywką,—zabawce, mającej służyć do dalszej lokomocji.

Ruszamy,—pan w czerwonej czapce, udający prawdziwego zawiadowcę prawdziwej stacji, ruchem ręki na to pozwolił,—coś zazgrzytało, stuknęło, jęknęło, parę silnych wstrząsów, i jedziemy. Nie każda kolej jest objawem kultury i nie każda zapewnia komfort podróżnikom,—do tego smutnego wniosku dochodzi się, jadąc w tropikalnym upale z zawrotną szybkością dziesięciu kilometrów na godzinę, — patrząc, jak na mostkach pociąg sobie przystaje, a lokomotywa za pomocą jakiejś rurki pije wodę, której zupełnie na cały czas trwania podróży pozbawieni są pasażerowie. Bo na tak zwanych stacjach nietylko niema wody, lecz nawet same budynki stacyjne nieraz są zamknięte ostentacyjnie na kłódkę,—podobno przyczyną tego są sianokos i żniwa,—lecz jeśli bez nich się obejść można, poco je, właściwie, pobudowano?

Na pociechę mamy cudny krajobraz: — miejscowość jest tak falista, że pociąg wciąż się przewija, jak wąż, pomiędzy pagórkami; — soczysta zieloność drzew

i pól, cudny aromat kwitnącej koniczyzny „dziesięliny“ Mickiewiczowskiej, i miodnicy, — aromat, jakiego żaden „trèfle incarnat“ zaimitować nie jest w stanie.

Kraj zniszczony wojną doszczętnie: popalone wsie i domy, pokryte okopami pola i łąki, odrutowane brzegi malowniczych jezior. Tu przez trzy lata zmagaly się dwie największe potęgi świata, tu się znajdował front Niemiecko-Rosyjski, tu leżały historyczne jeziora, których nazwy znamy z komunikatów wojennych: Narocz, Obole, Dryświaty. Kościoły zburzone powstają z gruzów, gdyż lud jest bardzo nabożny, wsie też się potrosze odbudowują; najgorzej jest z dworem. Ten krzewiciel kultury polskiej, dzielnie o nią przez stulecie niewoli walczący, przestał prawie zupełnie istnieć. Popalony, lub rozebrany na okopy,—a jeśli z niego pozostały ściany, to odarte ze wszystkiego, co się zniszczyć, lub wywieźć udało.

Zdawałoby się, że wszystko inteligentniejsze, bardziej kulturalne uciec musiało z tych okolic. Takby się zdawać mogło tym, co nie znają naszej kobiety kresowej. W ocalałej chacie dzierżawcy, lub parobków, w oficynie, lub śpichlerzyku, w blokhausie, pozostałym po Niemcach—potrafiła ona ostać się, stworzyć nowe gniazdo dla rodziny, nowe ognisko polskiej kultury. Nie mówię przez to, żeby jej w pracy ustępowali mężczyźni, — tylko ona, chociaż słabsza i więcej wygod i komfortu potrzebująca, chętniej się ich wyrzeka, byle nie opuścić rodzinnych katów, byle uratować bodaj część ojcowizny dla dzieci. W co drugim dworze, raczej, w co drugich resztkach dworu widzimy kobiety. Mąż zginął na wojnie, lub gdzieś na urzędzie zarabia na kształcenie dzieci, a ona od świtu do nocy pracuje w pocie czoła, aby na wyjąłowych po wojnie nieużytkach zaprowadzić nowe gospodarstwo. Brak rzemieślników, narzędzi, pieniędzy! Nic to—wszystko być musi, bo ona chce! Zaczyna się od jednej krowki i jednego konia, a po kilku latach już jest czem zapełnić budującą się dużą oborę,—posiano na razie kilkanaście pudów zboża, a po paru latach wspaniała, — nie co do architektury, lecz co do rozmiarów—odryna czeka na snopy, gęsto pokrywające pola po żniwach.

O budowie domu się nie myśli: to zbytek, na który chyba nowe pokolenie będzie mogło sobie pozwolić. A poza domem, urządza się kółka, rolnicze i spółdzielnie mleczarskie, przetwórcze owoców,—pracują wszędzie i mężczyźni, ale prawdziwym „spiritus movens“ jest kobieta.

Nie dałabym dokładnego pojęcia o całym ciężarze podjętych przez nią prac i obowiązków, gdybym nie wspomniała o regulowaniu różnych spraw w urzędach. „Kab ty po polskim urzędach badziausia!“ mówi nowokreowane ludowe przysłowie miejscowe. Skrajny formalizm, zupełne nieposzanowanie czasu własnego i cudzego—charakteryzują wszystkie bez wyjątku instytucje państwowe i samorządowe na kresach. Przytłacza to nieboszczkę Austrię przedwojenną, po której mogliśmy wziąć coś lepszego w sukcesji, a wzięliśmy biurokratyzm, doprowadzony do absurdu i mnóstwo urzędników, którzy, nie znając warunków odmiennych w różnych dzielnicach kraju, wszędzie swoje metody stosują i miejscowych swoich podwładnych, tych metod uczą.

Tylko kobieca cierpliwość jest w stanie podoląć wykonaniu tych setek postanowień, przepisów—nierzadko z drugimi kolidujących, zastosować się do nich, lub wywalczyć jakąś w nich zmianę. Na

trzęsącej-bryczuszce, lub jednokonnej linijce,—(gdzie się podziały czwórki i dobrane pary, koczki i karety?)—pani na dużych (do opłaty podatków) włościach jeździ od urzędu do urzędu, wyjaśnia i wylicza, tłumaczy i koryguje różne nieporozumienia, niedokładności, zakusy na cudzą własność, opodatkowania nieistniejących walorów. A gdy przyjdzie lato i cała młodzież ze szkół wróci do domów, robi się rojno, gwarno i wesoło! Nic to, że się sypia na sianie, nic to, że dawne wykwintne posiłki zastępuje głównie zsiadłe mleko i kartofelki ze słoninką, baranina i kurczęta,—jest młodość i zdrowie i owa kresowa tężyzna, dzięki której moskalom nie daliśmy się, i dzisiaj trującym powiewom z Bolszewji także się nie damy!

Rybołówstwo i polowanie, przechadzki bez końca i tańce, tańce przy inwalidzie-fortepianie, ocalałym po wojnie, przy gramofonie, przy grzebieniu bodaj, i to nie fox-trott, ani shimmy, które się zresztą zimą uprawia z powodzeniem w mieście, lecz mazur i oberek, a nawet modny i w stolicy obecnie kujawiak,—trzeba zadość uczynić potrzebie ruchu, dać ujście nadmiarowi sił!

A gdy lato minie i dzieci do szkół wrócą, gdy dom opustoszeje, w największym pokoju staną dawne przedpotopowe krosna, i na nich sama pani, lub pod jej czujnym dozorem któraś ze sprytniejszych dziewczek—siada tkać domowe płótna na obrusy i ręczniki, (te dawne, webowe, holenderskie, służą obecnie bolszewikom), lub barwne pasiaki wełniane na pokrycie bielonych ścian, prostych ław, połamanych resztek foteli i kanap... Cześć kresowej kobiecie! *Pani Elżbieta.*



WYKWINTNA KOBIETA

Mylnie sądzą niektórzy, że wykwiną może być tylko kobieta bogata, lub piękna — wykwin, jest to dar wrodzony, na który składa się cały szereg szczegółów. Wykwinna kobieta musi być pełna uroku, dystynkcji, wdzięku, naturalności, skromności, musi być niepowседневna, ale nie ekscentryczna. Osoba wykwinna obdarzona jest od natury taktem, zdrowym rozsądkiem i jasnym poglądem.

Jest pełna godności, ale bez przesady, energiczna, dzielna, dobra. Nie ma ani wymuszoności, ani pychy, ale umie być dumną w razie potrzeby; posiada smak doskonały, wysokie poczucie elegancji i estetyki. Kobieta jest wytworną nie dlatego, że jest dobrze ubrana, ale jest dobrze ubrana dlatego, że jest wytworną. Ta wytworność wrodzona daje jej odczucie tego, co jest dla niej odpowiednie, niepowседневne, co nie traci pospolitością. Niewykwinna kobieta może być ubrana modnie, ale nigdy nie będzie wyróżniać się tem czemś nieuchwytnem, trudnem do nazwania, a co właśnie robi ją wykwiną, co nadaje jej nie tylko pozór dystynkcji, ale robi ją prawdziwie dystyngowaną.

Na wykwin składają się zalety serca, charakteru, sposób zachowania się, sposób życia, powierzchow-

ność (niekoniecznie—uroda). Niema tak lichego, ordynarnego człowieka, na którego nie oddziaływałyby godność zachowania i urok wykwinu. Mało kto zdaje sobie sprawę, z czego wynika tak zwane „szczęście do ludzi“, dające wielkie powodzenie w życiu — jest to wytworność obejścia w obcowaniu z nimi. Aby nad ludźmi panować, trzeba mieć, albo wrodzone zdolności, albo talent, nabyty nieustającą pracą, ale, aby zajmując stanowisko prawdziwie godne pozazdrosczenia w swoim otoczeniu i w świecie, trzeba jednoczyć w sobie wszystkie cechy, które składają się na wytworność, a które bardziej odczuć, niż określić się dadzą. Kobieta wykwinna jest otoczona uczuciami sympatii, szacunku i uwielbienia, które ułatwiają jej drogę przez życie i dają możność oddziaływania na innych dobrym wpływem. Kobieta wykwinna nie potrzebuje posiadać ani nadzwyczajnego intelektu, ani wybitnej piękności, aby mogła czarować otoczenie, na które wywiera wpływ doskonałą harmoniją zewnętrzną i wewnętrzną, zawdzięczając ją swej naturze, pozbawionej wszelkiej wulgarności. Kobiety wykwintne nie lekceważą przepisów dobrego tonu, ale umieją zachować się swobodnie; odrzucają niepotrzebne często ceremonje, zachowując jedynie przepisy grzeczności i prawdziwej uprzejmości. Umieją poddać się koniecznej etykietce tak, jak gdyby wychowane były w Chinach, gdzie „Akademja dobrych manier“ przepisuje je całemu państwu, lub w „szkołach piękności“ w Ameryce, gdzie wykładają sposób zachowania się w świecie.

Kobieta wykwinna nie mówi nigdy z obcymi o pieniądzech. Umiejąc przystosować się do swoich środków, nie narzeka na brak i nie imponuje ich nadmiarem.

Wykwin nie jest przywilejem wysokiego urodzenia: kobietą wykwiną może być równie dobrze księżna i hrabina, jak małomieszczanka, chłopka, lub robotnica.

Posiadając w naturze tę najwyższą elegancję moralną, z małym trudem uzyska inne, i jeżeli będzie jej to przeznaczone, zostanie wkrótce światową kobietą bez zarzutu; a słysząc, jak się wyraża i widząc jak się między ludźmi obraca, — nikt nie uwierzy, że wychowana została w skromnem, drobno-mieszczarskiem środowisku, w zagrodzie, lub na facjacie.

Odczuwając intuicją wszelkie braki i niedokładności wychowania swego, prędko je uzupełni i posiadać będzie przepisy życia światowego, które polegają na znajomości zwyczajów, i w ten sposób zyska swobodę obejścia, bez której niema kompletnego wdzięku. Ale ponieważ posiada wysokie poczucie taktu, wie, że niema bezwzględnych przepisów, że trzeba wiedzieć, jak przystosować je do okoliczności; umie okazać sympatię i należyte względy każdemu, a, że jest przede wszystkim dobra zawsze i dla każdego,—umie być miłą i grzeczną tak dla dziecka, jak dla starca, tak dla zebra, jak dla pana.

Ta uprzejma dobroć dodaje wdzięku jej grzeczności, bo czy można wyobrazić sobie osobę wykwiną—nie uprzejmą? Uprzejmość, ta grzeczność bogów, powinna być zawsze nicią przewodnią naszego postępowania. Dobre wychowanie może pozornie zastąpić dobroć, ale nic nie jest w stanie zastąpić uprzejmości. Wykwin kobiety odbija się na wszystkim, co ją otacza, dodatnio uprzedza do wszystkiego, co do niej należy; usposabia życzliwie nawet do człowieka, którego kocha, wyróżniając go tem samem, że to ona go wybrała.

Z...ska,

KOSMETYKA DLA MŁODZIEŻY

Nowy rok szkolny się rozpoczyna... Wszystkie troskliwe mamusie na nowo poczynają myśleć o swej dziatwie, o jej nauce, zdrowiu, ubraniu, wreszcie, o jej estetycznym wyglądzie, zazwyczaj trochę zaniedbanym w okresie letnich wakacyj.

Minał bowiem bezpowrotnie ten okres, gdy uważało się, że młoda dziewczyna „ma czas jeszcze myśleć o swej urodzie”. Skutek tego powszechnego dotychczas zaniedbania był taki, że młoda panienka, dorastając, spostrzegała z przerażeniem, że ongiś piękna jej cera o delikatnym zabarwieniu, przekształciła się w szarą, bezbarwną skórę, pokrytą krostami, wągrami i bliznami; że jasne jej, piękne i puszyste włosy przedstawiają się, jako tłuste, lepkie i bezbarwne kosmyczki. Nadmiar tego, jej kształtne i jędrne piersi zamieniły się we flakowate torby, a wypukłe i skrzywione od szkolnej ławy plecy uwydatniają tembardziej wszystkie braki figury.

Wtedy to, jako osoba już dorosła, młoda kobieta zwraca się skwapliwie do lekarza specjalisty z prośbą o radę. Niestety, z wielkim smutkiem dowiaduje się, że dużo już zrobić się nie da, gdyż blizny na twarzy są trudne do usunięcia, włosy zaniedbane często niewiele dadzą się poprawić. Zmiana kształtu biustu wymaga wielkich wysiłków, które nie zawsze dają odpowiedni skutek, i t. p.

Wówczas to występuje cały żal do rodziców, zwłaszcza do matki, za to, że skutkiem zaniedbania, lub nieświadomości, unieszczęśliwiła swe ukochane dziecko. Trudno nie przyznać słuszności temu żalowi, gdyż obecnie, kiedy kobieta wyjść musiała poza granice domowego ogniska, troska i dbałość o jej stronę zewnętrzną stanowi dla niej bardzo ważny problem. Kobieta nie tylko w małżeństwie, w swem życiu osobistym, ale na każdym stanowisku, o ile zewnętrznie sprawia estetyczne wrażenie, ma znacznie ułatwione stosunki życiowe. Smutne to jest, niestety, ale prawdziwe!

Obecnie społeczeństwo coraz bardziej zaczyna uświadamiać sobie, że troska o wygląd zewnętrzny nie tylko nie jest karygodną, lecz przeciwnie, świadczy o wysokości kultury danej jednostki, a tem samem całego narodu. Dlatego też wyrabianie w dziecku zamiłowania do piękna, bez wytwarzania w niem zbytycznej, przesadnej kokieteryj, należy uważać za obowiązek macierzyński tak samo, jak dbałość o zdrowie i fizyczny rozwój dziecka oraz zaszczepienie w niem poczucia piękna i estetyki.

Ma to zarazem doniosły wpływ wychowawczy, kształci bowiem duszę dziecka, które poczucie pięknej formy uczy się przenosić również na zjawiska etyczne. W ten sposób, usiłując kształtować piękne ciało, kształcimy również duszę dziecka, w myśl zasady, że w pięknie ciele musi również mieszkać piękna dusza. Dziecko uczy się pięknie patrzeć, pięknie czuć i pięknie postępować.

Jakimi drogami należy iść, aby osiągnąć maksimum zdrowia, uzyskać i zachować estetyczny wygląd—wskazuje kobiecie dorosłej miesięcznik „Kultura ciała”, wydawany przez Two. Wydawnicze „Bluszcz”, (pierwszy numer ukazał się w lipcu b. r.) Te same zagadnienia w stosunku do dzieci do lat 7 porusza dwutygodnik „Dziecko i matka”;—dla młodzieży dorastającej dotychczas specjalnego pisma w tym kierunku nie było;

odnośne wskazówki znajdują miejsce w osobnym dziale miesięcznika „Kultura ciała”. Obecnie pragnę poruszyć w „Bluszczu” tę aktualną sprawę tylko z punktu widzenia ogólnego, by zwrócić uwagę matek na niebezpieczeństwo zaniedbania strony fizyczno-estetycznej w wychowaniu młodego pokolenia.

Przed rozpoczęciem roku szkolnego zaleciłabym przedewszystkiem zasięgnąć rady lekarza domowego, co do ogólnego stanu zdrowia. Podobnie lekarz-dentysta powinien obejrzeć zęby dziewczynki, aby zawczasu poprawić ewentualne nieprawidłowości uzębienia: próchnicę, skrzywienie zębów, etc.

Następnie należy zwrócić uwagę na cerę dziecka. Skóra, zależnie od gruczołów łojowych, w niej rozmieszczonych, bywa za sucha, za tłusta, a wyjątkowo tylko normalna. Zdarza się często, że delikatna i piękna cera dziecka w wieku pokwitania nabiera przykrych cech łojotokowych.

Łojotok jest właściwie chorobą okresu dojrzewania płciowego. W tym okresie, gdy gruczoły płciowe zaczynają się rozwijać, na skórze twarzy rozszerzają się nadmiernie gruczoły łojowe i stają się widoczne w postaci rozszerzonych por, wągrów i krost. Zmiany te są bardzo nieestetyczne, lecz o ile nie zostaną zaniedbane, można usunąć je bezpowrotnie odpowiedniemi leczeniem. Nie należy jednak ulegać przesadowi, że z wiekiem to samo przejdzie, zwłaszcza po zamążpójściu. W rzeczywistości dolegliwość ta ustępuje, ale w wieku późniejszym, czasem dopiero w wieku przejściowym. Trudno jest czekać aż do tego czasu. Szybka pomoc lekarska, racjonalne leczenie w postaci odpowiedniej diety, środków farmaceutycznych i stosowanego szczególnie w ostatnich czasach światłolecznictwa,—daje nieocenione wyniki.

Piękny i bujny włos jest wielką ozdobą człowieka. Pielęgnować go należy od najwcześniejszej młodości.

Zazwyczaj, zależnie od ilości gruczołów łojowych, rozmieszczonych w skórze głowy, włosy bywają zbyt tłuste, zbyt suche, lub, co się najrzadziej zdarza—normalne. Dzieci najczęściej mają włosy suche. Należy więc je natłuszczać nieszkodliwymi środkami. Z biegiem czasu, w okresie dojrzewania płciowego, gruczoły łojowe w skórze głowy rozwijają się nadmiernie i wtedy występuje łupież i łojotok: włosy stają się lepkie, tłuste, zaczynają wypadać.

Łupież w granicach fizjologicznych, jako naturalne złuszczenie się naskórka, musi występować. Jeśli zaś występuje zbyt obficie, należy objaw ten leczyć, by nie dopuścić do natłuszczenia i wypadania włosów.

Zwykle matki troszczą się specjalnie o to, aby utrzymać naturalny jasny kolor włosów dziecka w wieku późniejszym. O ile to jest robione drogą naturalną, umiejętnie, to takie rozjaśnienie może pozostać na stałe; należy jednak być ostrożną w dobie-raniu środków, gdyż przy użyciu niewłaściwych, włosy mogą utracić swą barwę na zawsze.

Jak należy włosy pielęgnować, nie można dać stałego, jednego i tego samego dla wszystkich, szablonu: zależy to od gatunku włosa i od rodzaju skóry na głowie. Bardzo często wypadanie włosów spowodowane jest zbyt częstym myciem i stosowaniem do mycia środków nieodpowiednich. Nic tak nie niszczy włosów, jak żrące substancje, dodawane do szampionów i mydeł, używanych do mycia włosów, zwłaszcza dla delikatnych włosów dziecka. Pielęgnowanie zdrowych włosów, w ogólnem tego słowa zna-

czeniu, polegać powinna na utrzymaniu ich w czystości przez czesanie, szczotkowanie i odpowiednie mycie. Nie należy się łudzić, że jedynie przez pielęgnację uzyska się bujne, piękne włosy. Zależy to od dziedziczności, warunków życiowych, ogólnego stanu zdrowia i odpowiedniej, racjonalnej pielęgnacji włosów. Osoby, dziedzicznie obciążone, a jednak obchodzące się umiejętnie ze swymi włosami, mogą używać chociaż delikatną, ale puszystą czuprynkę.

Poza dbaniem o cerę i włosy, należy zwracać również uwagę na ogólną sylwetkę ciała, oraz na harmonijne i estetyczne ruchy. Najważniejszą rolę będzie tu odgrywać stałe i systematyczne stosowanie odpowiedniej gimnastyki, względnie gimnastyki leczniczej, jeśli ma się do czynienia z jakimiś wadami organicznymi, oraz masażu leczniczego. Dla zachowania odpowiedniego kształtu biustu należy nosić staniczki podtrzymujące, lecz nie uciskające, oraz stosować natryski odpowiednimi środkami. Skrzywienie szkolną ławką plecy trzeba wyprostować za młodu, przy pomocy gimnastyki leczniczej, masażu, nacierania. O estetyczny kształt rąk i nóg należy się starać przez stosowania odpowiedniej pielęgnacji i właściwe zabiegi, w postaci bandażowania nóg, etc. Wyprostowanie skrzywień, a nawet wszelkie zabiegi chirurgiczne dla zachowania urody są w tym wieku znacznie łatwiejsze do przeprowadzenia i bardziej celowe, niż w wieku późniejszym.

Narody Wschodu wierzą, że każdy człowiek rodzi się ze zgóry określonym przeznaczeniem. Często ryją oni mądre sentencje, stanowiące dewizę ich życia, na amuletach, które stale noszą przy sobie. Taką dewizą, która powinna być wyryta w sercu każdej matki, wychowującej swe córki, niech staną się greckie wyrazy „kallos — kai — agatos”, co znaczy: dobry i piękny. — Od pierwszego z nich wzięła swą nazwę kalotechnika, czyli sztuka upiększania.

Dr. med. J. Świłłska.

PSZCZOŁY

IV

Po przygotowaniu uli, zabieramy się do naklejania woszczyny w ramki, co okazało się w praktyce nadzwyczaj pomocnym do racjonalnego budowania woszczyny przez pszczoły. W tym celu tniemy stary plaster, w którym wychowało się już kilka pokoleń, na wąskie paski, o ile możliwości odpowiadające szerokości ramki w świetle, i przylepiamy je jak najstaranniej do górnej beleczki woskiem, który rozgrzewamy uprzednio w blaszanym korytku, odpowiedniej długości. Gdy wosk jest dostatecznie rozgrzany i płynny, maczamy w nim tę stronę woszczyny, którą nakleić mamy, i po szczelnym przyłożeniu do ramki, postawionej górną ku dołowi, przytrzymujemy kilka sekund palcami, aby wosk, zastygając, chwycił należycie. Ramka, do której mamy przylepiać woszczynę, musi być wysuszona i lekko ogrzana. Należy zwrócić uwagę na to, aby komórki woszczyny szły ku górze, inaczej miód będzie się z nich wylewał.

Nie trzeba używać na krojenie pasków, o jakich mowa, woszczyny z komórkami trutowymi, gdyż to pobudza pszczoły do dalszego budowania komórek trutowych.

Praca przy zbieraniu roi powinna zastać każdego pasiecznika należycie do niej przygotowanym. W tym celu należy pamiętać o potrzebnych narzędziach, gdyż zapóźno będzie gromadzić je i szykować, gdy się już pszczoły roić zaczną. Takimi narzędziami są: rojnice, lub worek do zbierania roi, drabinka, po której można wejść na wysokie drzewo, o ile na takim rój osiadzie, klateczka na matkę i podkurzac.

W okresie rojenia się pszczoł trzeba mieć pasiekę pod stałą obserwacją od godziny 8 rano do 5 p. p. Później pszczoły nie roją się już nigdy. Pszczoły, wyszedłszy z ula, gromadzą się zwykle na płocie, lub drzewie niedaleko od pnia macierzystego; czasem zdarza się jednak, że, zamiast osiąść, pokręciwszy się nieco po pasiece, zbierają się do lotu w obrane uprzednio miejsce. Wtedy należy zakropić je lekko wodą, co daje im złudzenie deszczu i powoduje związanie się w kłęb i przeczekanie. Stosują też dzwonienie, lub brąkanie w kosy, co ma naśladować burzę, i wywiera też skutek, jak wyżej. Jeżeli pszczoły, po wyjściu z ula, gromadzą się w jednym miejscu, czekamy, aż wyjdą wszystkie, a gdy osiądą, strzাসamy je w rojnicę, lub worek. Gałęzią drzewa należy potrząsnąć krótko, ale mocno, aby wszystkie pszczoły spadły od razu. Miejsce, w jakim się pszczoły uwiązały, dobrze jest podkurzać dymem, aby pszczoły nie uleciały z rojnicy i nie powróciły na nie z powrotem. Tak zgromadzone pszczoły trzyma się w cieniu i osadza w ulu dopiero wieczorem. Jeżeli pszczoły rojące się osiadą na płocie, grubym konarze drzewa, lub jego pniu — zmiatamy je delikatnie skrzydłem, lub szczoteczka do rojnicy, lub też stawiamy rojnicę ponad niemi, wylotem ku dołowi, a pszczoły podkurzamy delikatnie i naganiamy je piórkiem, a wówczas wejdą same. Dla zachęcenia pszczoł do wejścia do rojnicy, wycieramy ją melisą, starym roztopionym woskiem i wkładamy wewnątrz kilka zielonych gałązek. Sposób ten działa niezawodnie, zachęcając pszczoły do zgromadzenia się w rojnicy.

DLA PRENUMERATOREK „BLUSZCZU“

ZNIŻKA 33⁰/₀

przy prenumeracie kwartalnej miesięcznika ilustrowanego dla wszystkich p. t.

„NA FALI“

Nietylko naukę i pożytek, ale zdrową rozrywkę w estetycznej formie nieść powinno słowo drukowane.

W myśl tej zasady chcemy udostępnić czytelnikom naszym nowe wydawnictwo, dając im za 3 złote prenumeraty kwartalnej 3 numery „Na fali“, których cena w handlu księgarskim wynosić będzie 4 zł. 50 gr.

„Na fali“ zawiera ciekawe nowele, humoreski, obrazki egzotyczne, listy z podróży przez specjalnych korespondentów, artykuły popularno-naukowe z dziedziny nowych odkryć i wynalazków, z zakresu architektury, sztuk pięknych, sportu, życia towarzyskiego, tańca, teatru, kina i t. p. Daje obraz życia współczesnego w szeregu artystycznie wykonanych ilustracji.

Specjalną uwagę poświęca kącikowi humorystycznemu i działowi rozrywek „myślowych“.

Każda z Czytelniczek „Bluszczu“ powinna natychmiast przesłać prenumeratę kwartalną 3 zł. na konto P.K.O. 14.400.

„Na fali“ ukazywać się będzie w końcu każdego miesiąca — szósty numer już wyszedł z druku.

Adres Redakcji — Krakowskie-Przedmieście 99.

Adres Administracji — Górnośląska 19.

O ile dokoła pasieki niema drzew, ani odpowiednich do zgromadzenia się roju miejsc, dobrze będzie powtykać w pobliżu wiechcie ze słomy, osadzone na żerdziach, lub rozłożyste gałęzie.

Aby zapobiec uciekaniu roju z przeznaczonego mu ula, dobrze jest zamknąć matkę na parę dni w klateczce i trzymać ją tak uwięzioną w ulu. Pszczoły nie opuszczają jej nigdy.

Wybitną skłonność do ucieczki okazują roje, zbierane z pni, które stoją niedaleko lasu. Takie roje upatrują sobie zazwyczaj miejsce dogodnie do założenia nowej rodziny i rzadko kiedy godzą się dobrowolnie na wybrane im przez pasiecznika mieszkanie. Środkiem pomocniczym przy zatrzymywaniu pszczoł w nowym ulu jest wykorzystanie ich przywiązania do czerwia. Świeżo osadzone pszczoły nie wyjdą z ula nigdy, jeżeli damy im plaster czerwia.

Jeżeli zamknijemy matkę do klateczki, zbierając rój, można pszczoły zaraz potem osadzić w ulu; w przeciwnym razie dopiero po godzinie 6-ej, szczególnie, jeżeli w grę wchodzi roje z młodej matkami.

W ulach ramowych osadzamy roje, wysypując je z rojnicy w środek ula, w którym rozsunęliśmy uprzednio ramki, poczem ramki zasuujemy i nakrywamy ul daszkiem. Ule słomiane, tak zwane kószki, przewracamy do góry dnem i wysypujemy do nich prosto pszczoły, jednak, ustawiając je na stołkach w pozycji pierwotnej, podkładamy deseczki, aby pszczoły nie pognieść; dopiero po wejściu wszystkich pszczoł deseczki usuwamy. Praktyka uczy, że roje w kószkach zagospodarowują się mniej chętnie i częściej z nich uciekają, to też w powyżej wspomnianym wypadku najlepiej jest zamykać matkę w klateczce.

Rojom świeżo osadzonym nie można nigdy dawać od razu zbyt wiele ramek, gdyż wezmą się do budowy woszczyny we wszystkich równocześnie i nie zdążą wykończyć jej przed zimą, wczasie której plastry krótkie są dla pszczoł niekorzystne. Osadzanie rojów późnych jest naogół nie wskazane. Stosować je można tylko w ulach ramowych, gdzie możemy pszczołom dać całe plastry gotowej woszczyny, bo wtedy, nawet wczasie stosunkowo krótkiego wziętku, nie potrzebując budować woszczyny, zdążą znieść do ula potrzebną ilość miodu i pyłku.

Najbardziej wskazaniem jest osadzanie roi silnych; słabsze można osadzać z pomyślnym skutkiem tylko bardzo wczesnie tak, aby mogły się dostatecznie rozwinąć i zebrać wystarczający zapas miodu i pyłku.

W pierwszym roku miód podbierać możemy tylko z uli, w których osadziliśmy roje wczesne i bardzo silne i to jednak w niewielkiej ilości, aby, odbierając pszczołom zbyt wiele zapasu, nie osłabiać ich nadmiernie.

Wspominałam już powyżej, że świeżo osadzonemu rojowi nie należy dawać zbyt wiele ramek. Kierujemy się tutaj wagą zebranego roju, przeznaczając wążecemu ponad dwa kilogramy 7 ramek, a rojowi, nieprzekraczającemu wagi 1½ kg., — tylko sześć. Ramki nowe dodajemy, gdy poprzednie są już bliskie zabudowania.

Gdyby osadzony rój okazał się zbyt słabym, t. j. wahającym się pomiędzy ¼ — ½ kg., można stosować łączenie kilku roi. Łączenie roi odbywać się może nawet i w parę dni po osadzeniu pierwszego. Najlepiej jest łączyć roje o jednakowych matkach, to zna-

czy: rój z matką starą łączyć z podobnym i odwrotnie. Jeżeli musimy połączyć roje z niejednakowymi matkami, najlepiej będzie jedną z nich przedtem usunąć. Łącząc roje, zamykamy zwykle miejscową matkę na jeden dzień w klateczce.

Bywają wypadki, kiedy wpędzenie roju do macierzaka okazuje się koniecznym, a to wtedy, jeżeli rój wyjdzie zbyt późno, i widzimy, że nie zdąży się już obrobić przed zimą, lub jeżeli chcemy otrzymać rój z młodą matką. Wpędzając rój do macierzaka, w pierwszym wypadku niszczymy mateczniki, w drugim — zabijamy starą matkę, a wówczas napewno po dziewięciu dniach wyjdzie rój z młodą matką.

Często zachodzi potrzeba dokarmiania pszczoł. Dokarmianie dzielimy na uzupełniające i spekulacyjne.

Karmienie uzupełniające w zimie ma miejsce wtedy, jeżeli zauważymy, że pszczoły cierpią głód. Fakt taki miewa miejsce tylko w pasiece, źle prowadzonej. Pasieka, postawiona racjonalnie, posiada zawsze pnie tak zaopatrzone, że pszczołom wystarcza pokarmu nie tylko na zimę, ale i w okresie wczesnej wiosny.

Ul, który musi być dokarmianym, zabiera się do ciemnej izby o umiarkowanej temperaturze i podkarmia się go syropem z cukru, albo miodem, t. zw. szytym w plastrach, czyli zasklepionym. Dokarmianie pszczoł patoką, czyli miodem płynnym, nie jest wskazane, gdyż miód taki wchłania łatwo nadmiar wilgoci i nasionka drożdży, psuje się i fermentuje, co jest dla pszczoł szkodliwym. Syrop z cukru przygotowujemy, biorąc na kilogram cukru ½ litra wody. Gotując, szumujemy go bardzo dokładnie, a po ostygnięciu wlewamy w plastry, położone pochyło. Ilość poddanego syropu normujemy podług okresu, na jaki ma wystarczyć, orjentując się tem, że jeden pień wczasie zimy spożywa mniej - więcej kilogram miodu miesięcznie.

Na wiosnę podkarmiamy pszczoły po pierwszym przeglądzie, który ma miejsce w końcu marca, lub na początku kwietnia, jeżeli zauważymy, że pień nie posiada dostatecznej ilości pożywienia. Podkarmiając na wiosnę, dajemy zawsze pierwszeństwo miodowi ponad cukrem, gdyż miód jest dla pszczoł daleko pożywniejszy. I tutaj najbardziej wskazaniem byłoby dawanie plastrów zasklepionych, ale ponieważ w tym czasie o nie bardzo trudno, a jeśli się nawet znajdują, to w stanie scukrowanym, przeto radzimy sobie, rozpuszczając miód na ogniu i dodając na kilogram miodu pół litra wody. Należy się wystrzegać podawania pszczołom miodu kupnego, gdyż może on być zakażony zgnilcem, lub fałszowany. Wrazie koniecznej potrzeby, gotujemy miód taki przez dwie i pół godziny, celem zabicia zarazków. Jednak miód taki traci na wartości, i podawać go naogół nie warto.

Aby pień był dostatecznie silny do wiosennej pracy, musi mieć mniej - więcej 5 kg. miodu; należy zatem podać mu ilość odpowiednią. Dobrze jest też, przeglądając ule, zwrócić uwagę, czy w którym niema zbyt dużego zapasu, i zbywające plastry użyć do zasilenia innych uli. Podając miód, lub syrop wczesną wiosną, nalewamy go w górną część plastrów, gdyż pszczoły, z powodu zimna, nie mogą się na dół opuścić; podając pokarm w podkarmiaczce, lub na głębokim talerzu, stawiamy go na dnie ula, ale wówczas płyn musi mieć temperaturę bardzo wysoką (ukrop). Ciepło, wydzielające się z takiego płynu, ogrzeje pszczoły,

spowoduje schodzenie na dół i zabieranie płynu. W okresie wiosennym późniejszym dajemy też miód w podkarmiaczce, ale wówczas może on mieć temperaturę normalną, nie podgrzaną. Na wierzchu miodu należy rzucić kilka żdziebeł słomy, lub podziurawioną deseczkę, aby się pszczoły nie topiły. Jeżeli wiosenne kwitnienie danej okolicy nie może dostarczyć pszczołom wystarczającej ilości pyłku, zastępujemy go przez umieszczenie w pobliżu pasieki plastrów woszczyny, napełnionych mąką żytnią, bardzo mialko zmieloną, pszenną, lub grochową. Chcąc zwabić pszczoły do maki, kładziemy na plasterze kawałek miodu z woszczyną. Z chwilą, kiedy ukaże się w polu i lasach pyłek naturalny, pszczoły same przestaną zabierać mąkę.

(c. d. n.)

W. D.

UMIEJĘTNOŚĆ KULINARNA PANI DOMU

Pani domu nie powinna nigdy ślepo ufać swej kucharce, pod pretekstem, że ta bardziej od niej umiejetna jest w sztuce przyrządzania potraw.

Są kucharki, których cała umiejetność nie może wystarczyć, aby zadowolnić gusta pana domu; są takie, które doskonale dają sobie radę gdy chodzi o stopień gotowania, o umiejetność użycia odpowiednich ilości, ale których pomysły są dziwaczne w wykonaniu i rażą podniebienia prawdziwych smakoszy; wreszcie, bardzo mało kucharek rozumie oszczędność.

Pani domu powinna posiadać dość umiejetności kulinarnej, aby kierować kucharką w myśl upodobań swych domowników, aby utrzymać jej pomysły gastronomiczne w granicach dobrego smaku; musi znać skład potraw, by móc dyskutować nad niemi i wymagać większej oszczędności w przyrządzaniu ich. Dodam, że jest absolutną koniecznością, aby mogła zastąpić kucharkę, w razie gdyby ta zmuszona była nie spodzianie odejść od swej roboty.

Z tych wszystkich względów nadzwyczaj pożądanem jest, aby młoda panienska mogła przejść kurs kucharstwa: w ostatnich czasach sporo otwarto takich kursów. W ostatecznym razie można praktykować w domu przy bardzo dobrej kucharce, lub kucharzu. Zdobywszy fachowo tę umiejetność, można kierować nieumiejetną kucharką, zdawać sobie dokładnie sprawę z wydatków kuchennych, powstrzymać kucharkę w razie przesady w jakimś kierunku.

Przy pewnej pomysłowości kulinarnej, można z wszelkich resztek przyrządzić doskonałe potrawy. Wyborne są wszelkie sałatki z jarzyn, z kawałków mięsa wszelkiego, zaprawione smacznie przyrządzonym sosem; bigosy z resztek mięsa i inne potrawy wyborne w smaku, a które niemal nic nie kosztują. Jeśli się żyje na szerszą skalę, to i wówczas gospodyni nie znieśie, aby kucharka zmarnowała coś z pozostałych potraw. Trzeba ją wówczas nauczyć, aby zachowała dla biedniejszych te resztki, które już nie mogą być podane na stół: niewielka porcyjka mięsa, pozostałe jarzyny i t. p. Wytrawna pani domu sama czuwać będzie nad potrawami pozostałymi, zarówno z tych, które podaje się do stołu, jak i z tych, co dla

służby, i rozporządzi rozdawnictwem ich biedakom w sposób sprawiedliwy. Należy mieć zawsze skrupuły, — przez proste uczucie ludzkości, lub przez oszczędność, — przed zmarnowaniem rzeczy, nawet najdrobniejszych.

Czy nie jest oburzające, gdy można kawałkiem mięsa, porcyjką zupy i chleba zaspokoić głód jakiegoś biedaka, wrócić mu siły, a przez niedbalstwo pozwala się na marnowanie tych rzeczy, które mogą zapewnić komuś wprost życie?

Albo też, jeśli budżet rodziny jest skromny, czy nie jest również zdrożnem wszelkie marnotrawstwo? Oszczędności, nawet groszowe, o ile są systematycznie prowadzone, dadzą nieco dobrobytu rodzinie, jeśli gospodyni domu jest rozsądną i umiejetną i szczerze oddaną swoim.

Są kucharki, które uczyć trzeba, że, chcąc dobrze gotować, trzeba doskonale za każdym razem, po każdym użyciu wyczyścić naczynia kuchenne i rondle. Jedynie w ten sposób smak poprzedniej potrawy nie udziela się następny i niema obawy zatrucia osadem, tworzącym się na miedzianych rondlach, nie wyczyszczonych doskonale. Trzeba też nauczyć kucharkę, aby koniecznie brała sól, mąkę i t. p., zapomocą łyżek drewnianych, a nie ręką.

Kuchnia należeć musi do tych części mieszkania, gdzie porządek robiony jest nieustannie.

Naczynia wszelkie po obiedzie muszą być tegoż dnia wymyte i kuchnia uporządkowana. Gdy kuchnia jest czysta zrana, wszelkie inne roboty daleko prędzej się dokonywują.

Służąca, kucharka, lub matka rodziny, zmuszone pracować poza domem od rana, będą miały w ten sposób wielkie ułatwienie. Co się tyczy kobiety, zmuszonej zajmować się całym domem i gospodarstwem, bez musu pracowania poza domem, to powinna odłożyć tę niemiłą robotę na dzień jutrzejszy, aby mieć wolny i spokojny wieczór, który może poświęcić rodzinie. O ile możliwości zajmie się tą robotą w czasie nieobecności męża. Lecz to nie przeszkodzi jej unikania wszelkiego nieporządku. Jednym zręcznym ruchem ręki przywróci porządek, choćby tymczasowo.

Nie wszyscy umieją zmywać talerze, choć na pozór rzecz to tak prosta. Przedewszystkiem trzeba talerze ustawić w stosy, uwolnić je od wszelkich resztek jedzenia, przygotować wszelkie rzeczy, aby robotą szła sprawniej. Zaczyna się od szklanek. Powinny być doskonale wymyte i wypłukane. Srebro musi być natychmiast wytarte po wymyciu.





BARANI BOK Z KASZĄ

Potrawa rosyjska, umiejętnie przyrządzona jest wyborna, i na wsi, gdzie latem i wczesną jesienią nieraz innego mięsa, prócz baraniny, wcale dostać nie można, stanowi dobre urozmaicenie jadłospisu. Mostek z bardzo dużego i tłustego barana zrumienić z masłem w piecu, poczem nadraść wzdłuż dwa razy i dusić w rondlu, z własnym sosem, aż mięso tak zmięknie, że kostki będzie można zupełnie usunąć. Na dwa kilo baraniny upiec w garneczku pod blachą sypką kaszę z pół kilo obwarzanych, całych krup gryczanych. Udusić z masłem, lub słoniną sześć cebul, pokrajanych w plastry. Na półmisku ułożyć pokrajaną baraninę, wszystko przykryć cebulą i polać sosem, co się uformowało przy duszeniu baraniny. Podawać bardzo gorące.

KOTLETY BARANIE Z SOSEM „SOUBISE“

Przygotować dwanaście kotletów z młodego barana, krajając je według kostek, starannie oczyszczając ze skórek i żyłek i wybijając na parę godzin przed smażeniem. Kilo cebuli, cukrowki, lub hiszpańskiej, pokrajać w plastry i dusić z łyżką masła pod pokrywą i na wolnym ogniu, aby pozostała zupełnie biała. Gdy miękka, przetrzeć przez sito, lub przepuścić przez maszynkę. Do tego purée wlać szklanę słodkiej śmietanki, lub dobrego mleka, wsypać niedużą łyżkę mąki, rozbitej z wodą, zagotować; zaprawić łyżeczką najlepszego, śmietankowego masła i troszką białego pieprzu, osolić do smaku. Sos powinien być tak gęsty, jak majonezowy. Kotlety posolić, popieprzyć, zrumienić z obu stron na masle, uważając, aby ich nie wysuszyć. Na środku półmiska ułożyć „soubise“, wkoło kotlety; sos, uformowany przy smażeniu kotletów, podać w sosjerce. Podawać bardzo gorące, jak każdą baraninę.

PIŁAW Z MOSTKÓW BARANICH

Kilo bardzo tłustego mostku baraniego nastawić z półtora litrem wody, marchewką, paru pietruszkami i dwiema dużymi cebulami. Odszumować, dodać listek, pieprzu w ziarnkach i soli do smaku. Szklanę szlifowanego ryżu zasmażyć w rondlu z łyżką masła i dobrze usiekaną cebulą; mieszać na wolnym ogniu, aż ryż nabierze barwy blado-żółtej; wtedy po łyżce dolewać rosółu z baraniny, i dusić na wolnym ogniu, aż ryż się stanie miękki. Powinien być sypki zupełnie. W ogniotrwałym rondelku, lub nelsonce układać rzędami ten ryż, pokrajaną drobno włoszczyznę, i baraninę, pokrajaną w nieduże kawałki, po uprzednim

odrzuconiu z niej kości. Ostatni rząd powinien być ryżu. Wylać w to pozostały tłusty rosół, wsypać tartą bułeczkę z serem ostrym i wstawić na kwadrans w gorący piec, aby się uformowała rumiana skórka. Podawać bardzo gorące.

„APPLE PIE“ (PAJ) ANGIELSKI Z JABŁEK

Osiemdziesiąt deka mąki pszennej, czterdzieści deka łożu nerkowego, oczyszczonego z żyłek i drobno pokrajanego i trzydzieści deka cukru wymieszać z małą filiżanką wody; siekać tasakiem na stolnicy, aż się zrobi równe, gładkie ciasto; wynieść na chłód na godzin parę. Półtora kilo kwaskowych jabłek oczyścić ze skórek i środków i poszatkować nieco grubiej, niż na szarlotkę. Półmisek metalowy wysmarować masłem, ułożyć nań w kopułę jabłka, przesypując je rzędami cukrem z cynamonem. Ciasto rozwałkować na pół palca, pokryć niem jabłka, nie psując kształtu kopuły. Z obrzynków ciasta zrobić długi wałeczek, rozplaszczyc go, obłożyć nim równo brzeg ciasta, aby nigdzie nie odstawało od półmiska, posmarować żółtkiem, przekłuć w kilku miejscach widelcem, aby para wychodziła i wstawić na godzinę w piec średnio gorący. Podawać gorące. Ciasto takie jest nadzwyczaj kruche i smaczne na gorąco; po ostygnięciu, niestety, twardnieje, to też pozostały „pie“ należy przed użyciem również przygrzać nieco.

KREM JABŁECZNY

Sześć jabłek kwaskowych, najlepiej antonówek, upiec i przetrzeć przez sito. Dodać filiżankę cukru, — tłuczonej rafinady, lub pudru — i trzy białka, ucierać drewnianą łyżką w jedną stronę, aż masa zbieleje i przybędzie jej w czworo. Ułożyć zgrabnie na półmisku, ubrać konfiturami i podać do tego kremu oddzielnie sok owocowy, lub też śmietankę, czy dobre mleko i cukier.

„MODNE ROBOTY KOBIECE“

BOGATO ILUSTROWANY MIESIĘCZNIK

Każdy zeszyt stanowi oddzielną całość i daje sposoby wykonania najnowszych rodzaj robót kobiecych, oraz wzory naturalnej wielkości.

ZESZYT CZERWCOWY:

„NAJNOWSZE SPOSOBY OZDABIANIA SUKIEN“ — aplikacja, haft, liworyzacja.

ZESZYT LIPCOWY:

„NAJMODNIEJSZE SZALE“ szydełkowe i na widełkach.

ZESZYT SIERPNIOWY:

ARTYSTYCZNE TKACTWO BEZ WARSZTATU.

Cena zeszytu 2 Zł.

Adres Redakcji — Krakowskie Przedmieście 99.

Adres Administracji — Górnośląska 19.

SER GOTOWANY

Łatwy do przyrządzenia, bardzo tani ser ostry. Kilo twarogu, dobrze odcisniętego, lub tyleż zwykłego krowiego sera pokruszyć drobno, złożyć do salaterki, i przykryte talerzem trzymać w cieple, aż płynąć zacznie i nabierze przykrego zapachu. Przełożyć do rondla, dodać łyżkę masła, dwie łyżki śmietany, soli do smaku i sporą garść kminku. Postawić na wolnym ogniu i ucierać wciąż łyżką, aż się zupełnie rozpuści i stanie gładki, jak śmietana. Przelać do foremki, wysmarowanej masłem: po wystygnięciu, wyrzucić na półmisek. Jeśli ser zbyt wilgotny, czasem nie daje się wyrzucić z formy, — należy wtedy używać go wprost z formy: na smak to wpływu nie ma.

GALARETA MOZAIKOWA

Szklankę orszady, (mleko migdałowe, zrobione z pięciu deka migdałów słodkich i paru gorzkich), osłodzić pół szklanką cukru i zaprawić trzema listkami żelatyny (latem), lub dwoma listkami (zimą), zastudzić w miseczce. Taką samą ilość jakiegokolwiek syropu owocowego, o ładnym kolorze, (zóżawinowy, wiśniowy, porzeczkowy, truskawkowy) rozcieńczyć do połowy wodą, zaprawić taką ilością żelatyny i też zastudzić w miseczce. Dwadzieścia deka smażonego ananasa, brzoskwiń, moreli, melona, a nawet zwykłych śliwek, osączyć z syropu i pokrajać w niedużą kostkę. Ze szklanki białego wina, (może być owocowe), dwóch cytryn, szklanki cukru i takiej ilości wody, aby razem było cztery szklanki płynu, zrobić smak na galaretę, rozpuścić w niej 10 — 12 listków żelatyny; — jeśli niezbyt klarowna, oczyścić paru białkami razem z łupinkami z jaj, przecedzić. Do dużej formy nalać na palec tej galarety, na to ułożyć część w kostkę pokrajanych galaret — białej i czerwonej i smażonych owoców, zalać warstwą galarety, zastudzić. Dać nową warstwę kostek kolorowych, znów zalać i zastudzić. Postępować tak, aż wszystko wyjdzie, a forma się zapełni; wynieść na chłód na sześć godzin przed obiadem. Przed podaniem, formę obrzeź ścierką, umaczaną w gorącej wodzie, przykryć półmiskiem i przewrócić dnem do góry, a galareta wypadnie doskonale.

Pani Elżbieta.

DOBRE RADY

Asparagus nie wymaga dużo starań i jest rośliną bardzo trwałą — trzeba tylko wiedzieć że nie znosi wynoszenia na dwór, stale musi być w pokoju, często podlewany, a jeszcze częściej skrapiany. Nie powinien stać na słońcu, ani blisko kaloryferów. Przesadzać trzeba na wiosnę w doniczkę większą, niż poprzednią, w ziemię wrzosową, pomieszaną z inspektową.

* * *

Aby pięknie prezimować paprocie, trzeba posadzić je w sposób następujący: Na dno doniczki włożyć kawałek węgla drzewnego, nakryć to mchem i dopełnić doniczkę ziemią pół na pół wrzosową i ogrodową z domieszką małej ilości grubego piasku. Paprocie lubią bardzo wilgoć: w tak urządzonych, jakby wydrenowanych, doniczkach można bardzo obficie podlewać — nie obawiając się, aby korzenie zgniły a roślina przez to się osłabiła.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących: palto, lub suknia fantazyjna zł. 3.50
suknia zwyczajna „ 2.50
bluzka „ 2.00
formy dzieciinne „ 2.00
bielizna „ 1.50

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących: obrus — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu“, nie wysyłamy.

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych lub przekazem.

„Owoce w moim ogródku“

RADY, DOTYCZĄCE HODOWLI OWOCÓW W MAŁYM OGRÓDKU

CENA 1 zł. 50 gr.

Wysyła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO“, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Czytelniczkom „Bluszczu“ kosztów przesyłki nie liczymy.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

„Co trzeba wiedzieć o grzybach“

WIADOMOŚCI NIEODZOWNE DLA KAŻDEGO AMATORA GRZYBÓW

CENA 1 zł 50 gr.

Wysyła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO“, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Czytelniczkom „Bluszczu“ kosztów przesyłki nie liczymy.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW

Redakcja i Administracja, Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“ Rymska 8, tel. 244-18.